



AE

HYMN NARODOWY

---

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy  
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.  
Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej  
Za Twoim przewodem złączym się z Narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami  
Daż nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy.  
Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej  
Za Twoim przewodem, złączym się z Narodem.

Jak Czarniecki do Poznania  
Po szwedzkim zaborze  
Dla Ojczyzny ratowania  
Wrócim się przez morze.  
Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej  
Za Twoim przewodem, złączym się z Narodem.

## DEKALOG POLAKA

---

"... Jam jest Polska, Ojczyzna Twoja, ziemia Ojców, w której wzrosłeś. Wszystko, czym jesteś, po Bogu - mnie zawdzięczasz!"

1. Nie będziesz miał ukochania ziemskiego naśm mnie.
2. Nie będziesz używał imienia Polski dla własnej kariery, chwały albo nagrody.
3. Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie.
4. Czcij Polskę, Ojczyznę Twoją, jak matkę rodzoną.
5. Z wrogami Polski walcz wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach Twoich.
6. Walcz z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem.
7. Bądź bez litości dla zdrajców mienia polskiego.
8. Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem.
9. Nie dopuść, by wątpicno w Polskę.
10. Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej dorobek i majestat.

"Będziesz miłował Polskę, pierwszą po Bogu miłością.

Będziesz Ją miłował więcej, niż samego siebie".



1037032

AE

Obchodzimy 5-tą rocznicę powstania S.B.S.K. Wielki to okres czasu... Tysiące wspomnień ciśnie się na myśl.

Przed pięciu laty Brygadę powołał do życia rozkaz Naczelnego Wodza. Cóż bowiem było robić z zapaleńcami, którzy przedzierali się przez różne granice wśród nieopisanych przygód, by się zaciągnąć pod sztandary bitewne i nadal nieubłaganą prowadzić walkę z okrutnym najeźdźcą, dręczącym umiłowaną ziemię Ojczyzną i gwałcącym prawa jej obywateli. Nie chęć przygód, ani lęk o siebie przed szaleńców tych z domu, jeno głos serca i wiara, że tylko z "trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć".

Mocny Boże! Któż z nas nie pamięta tych ścieżyn górskich i przejść tajemnych... Wielu życiem przypłaciło swój czyn. Ci, którym sprzyjało szczęście, przedzierali się poprzez różne kraje, by dojść do skwarnej pustyni syryjskiej.

Tu właśnie było m.p. formującej się Brygady Karpackiej. Ubrania cywilne poszły na "bakszysz" Arabom, przemundurowano nas w shorty i rozpoczęły się intensywne ćwiczenia. Odległe to dziś czasy... Potem Ziemia św..., kraj faraonów..., pustynia libijska.

Towarzyszka nam tęsknota za Krajem dalekim i tymi, co w nim pozostali. Opromieniała nadzieja, że przecież dojdziemy, bo dojść musimy, jeno nam wytrwać trzeba, jeno spełnić jak najlepiej swój obowiązek żołnierski, dyktowany miłością do Tej, "co zginąć nie może"!

Pewnej upalnej nocy, załadowani na okręty, ruszyliśmy na morze. Nazajutrz byliśmy w oblężonej twierdzy tobruckiej. Dokoła czaił się wróg, ten sam, który się pastwił nad Ojczyzną i najbliższymi nam. Uczucia, które przy pierwszym zetknięciu się z nim miotały naszymi sercami, wyraził szczerze sierz. podch. Jerzy Laskowski w wierszu "Dziękuję", drukowanym w Numerze 2 i 3 "Przy Kierownicy" w Tobruku:

" Naprzód bracia:  
Do broni!  
Bijmy piorunami i niech diabli wyją  
Z radości w piekle...

Niech trzeszczą w rękach naszych wrogów kości,  
I niech śmierć tańczy, niech hula z radości,  
I niech żelazo zetknie się z żelazem.  
Bijmy granatem, trujmy ich gazem...  
Za śmierć i trwogę naszych drogich matek,  
Za córki nasze podłone w Ojczyźnie...  
O każdej krwawej pamiętajmy bliźnie...  
Za wsie spalone, zhańbione ożtarze...

Więści z Tobruku niosły się w szeroki świat. Gdy ten i ów postronny nie wierzył nieraz doniesieniom z umęczonej ziemi polskiej - bo i doprawdy trudno było w to wszystko uwierzyć, co się tam działo - świat uwierzył w bohaterstwo przybyłych z dalekiego Lechistanu Polaków. Głośnie radiowe i prasa rozповідаły się o tej Polsce, którą wrogowie nasi odwieczni wykreślili z kart Europy na zawsze. Niósł się nasz hymn głosząc, że "Jeszcze Polska nie zginęła"! Kiedy dowódca twierdzy, australijczyk, gen. Mershead opuszczał Tobruk, tymi oto słowami żegnał się z naszą Brygadą: P. Generałowi, oficerom i żołnierzom S.B.S.K. wyrażam i podkreślam moje najwyższe uznanie dla bojowego ducha i za żołnierską postawę".

3-go Maja 1942 r. zamknęła się zapisana chlubnie karta S.B.S.K. Karpatczycy weszli w skład przeorganizowanej Armii Polskiej - powstałej z tysięcy rodaków, przybyłych z obozów, łagrów i posiadłości z Z.S.S.R. - wnosząc tam ducha, który dotąd ożywiał ich szereg. Część jednak musiała pozostać. Wojenne trudy, rany odniesione w bojach, wszystko to wpłynęło na zwolnienie pewnej liczby Karpatczyków z szeregów. Ale ideały, o które się biliśmy i wspólne przeżycia skupiły nas w Związku b.Żołnierzy S.B.S.K. Nie powstał on dla jakichś celów osobistych; nie szukamy chwały własnej, ani wyróżnień z tytułu spełnienia obowiązku żołnierskiego wobec Ojczyzny. Celem naszym jest wierne trwanie przy zasadach, w obronie których porwaliliśmy za broń. Stąd płynie nasza zdecydowana postawa wobec wszelkich zakusów naszych zachłannych wrogów, stąd wierność i ciągła gotowość do zrywu, do walki o Polskę polską, całą, wolną, niepodległą.

Z opisów, które zamieszczamy w tej Jednodniówce i które kontynuować pragniemy w miesięcznym biuletynie Związku, zobaczymy szczerze, proste i pogodnie zarazem spojrzenie na świat, oddające wiernie nastroje żołnierzy S.B.S.K. i jej promienną wiarę w świetlaną przyszłość Ojczyzny. Opowiadania te i opisy chcemy przekazać naszym Rodakom i tym, co po nas przyjdą, by były pokrzepieniem narodowego ducha, który czasu największej próby dziejowej nigdy się nie załamuje, ani nie ugiął przed wrażliwą siłą.

Zrzeszeni w Związku b. Żołnierzy S.B.S.K. uważamy się zawsze za żołnierzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej - i jako tacy gotowi jesteśmy każdej chwili podjąć walkę o te ideały, za które przelewaliśmy naszą krew.

Naszym credo: B ó g, h o n o r, O j c z y z n a.

### Marsz Karpackiej Brygady.

Karpacka Brygada, daleki jest świat,  
Daleki żołnierza tużaczy ślad.  
Daleka jest droga w zawiejach i mgłach  
Od śniegów Narwiku - w Libijski piach.  
Maszeruje Brygada, maszeruje,  
Maszeruje co tchu, co tchu!  
Bo z daleka jej Polska wypatruje,  
Wyczekuje dzień po dniu,  
I wzrok ku niej zwraca z za gór i z za mórz,  
Czy widać Brygadę, czy idzie już?  
Co noc słuch wytęża przez dal i przez mrok,  
Czy słychać Karpackiej Brygady krok?

Karpacka Brygada daleki jest świat,  
Daleki żołnierza tużaczy ślad;  
Aż wstęgą u Boskich owinie się stóp,  
Aż polski napotka graniczny ślup.  
Maszerują żołnierze, maszerują,  
Maszerować - żołnierska rzecz,  
Ani nóg, ani drogi nie żałują,  
Byle dziś, byle już, byle precz!  
Karpacka Brygada, do domów, do chat,  
Do Polski idziemy przez cały świat.  
Nie zbraknie na świecie bezdroży i dróg -  
Dojdziemy do Polski - tak daj nam Bóg.

Marsz ten śpiewany był po raz pierwszy w dniu 3 maja  
1941 r. w obozie w Latrun.





## Związek b.Żołnierzy S.B.S.K. w Palestynie.

W dniu 2 kwietnia 1940 roku została powołana do życia jednostka wojskowa pod nazwą Brygady Strzelców Karpackich, przemianowana następnie na Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich. Miejscem postoju była Syria, później Palestyna wreszcie Egipt. Żołnierzami Brygady byli ochotnicy, przedzierający się przez różne granice z Węgier i Rumunii. Rozpiętość wieku tych żołnierzy bardzo duża; nieraz syn stał w szeregu obok ojca, profesor obok ucznia, a mieszanina zawodów również taka sama i często właściciel, czy dyrektor fabryki biał "w dach" swemu robotnikowi fabrycznemu. Kategoria zdrowia tych osobliwych żołnierzy często przedstawiała wiele do życzenia, ale ochotnik musi trzymać się dzielnie, toteż podtatusiały strzelec harcował po piaskach syryjskich i pagórkach latruńskich, nie bacząc na to, że mu serce "nawala". Ciężkie warunki polowe w upalnym klimacie zżamały dość szybko mniej wytrzymałe organizmy tak, że już wczesnym latem 1941 mieliśmy pierwszych zwolnionych karpaczyców z kategorią zdrowia "E".

Byli żołnierze Karpaczycy przechodzili do "cywila" w lichych przeważnie drelichowych garniturach z małym tłumokiem pod pachą, ale zawsze z nabytkiem choroby, która go nie opuści aż do śmierci. Na wyposażenie osobiste otrzymywaś wówczas z Delegatury dwa funty palestyńskie "Odzieżowego" oraz normalny zasiłek uchoźczy, sześć funtów miesięcznie. Zwolnieni z wojska żołnierze byli uciążliwym balastem w rozumieniu "oficjalnych czynników", toteż patrzono na nich z niechęcią i "z góry".

W tych warunkach powstała myśl założenia związku byłych żołnierzy, a więc zrzeszenia ludzi, którzy wspólnie przeżywali nieraz bardzo ciężkie, a zarazem bardzo miłe chwile życia obozowego w pustyni. Życie obozowe w Brygadzie zacierało różnice stanowe, rasowe, społeczne i polityczne, wszystkich łączyła wspólna ideologia - a po opuszczeniu wojska - więzy przyjaźni zadzierżgnięte w "polu" nie rozrywały się i koledzy z wojska pozostawali i pozostają nadal serdecznymi kolegami, mimo różnic społecznych i politycznych. Były konsul, wojewoda, profesor, dyrektor fabryki, czy kopalni względnie wielkich zakładów chemicznych jest po "bruderszafcie" z wieśniakiem czy robotnikiem i doskonale się czują ze sobą w życiu zespołowym. Myśl zrzeszenia, nurtująca dość długo w umysłach Karpaczyców z Jerozolimy i Tel Avivu, przybrała realne kształty na pierwszym zebraniu organizacyjnym, odbytym w Jerozolimie w dniu 15 listopada 1941, w obecności 23 kolegów z Jerozolimy, przy współudziale przedstawicieli z Tel Avivu. Zebraniu przewodniczył kolega Lipecki Włodzimierz, sekretarował kol. Beffinger. Wówczas obecni na sali jednomyślnie oświadczyli się za utworzeniem Związku Byłych Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Należy podkreślić, że ówczesne władze polskie, a w szczególności Delegat Min. Pracy i Opieki Społecznej, ustosunkował się negatywnie do myśli zorganizowania byłych żołnierzy.

Na omawianym zebraniu powołano do życia Komitet Organizacyjny w składzie 5 osób, a to: kol. Lipecki Włodzimierz, Kalla Stefan, Beffinger Jan, a nadto 2-ch kolegów, mających być wybranymi na zebraniu organizacyjnym w Tel Avivie. Przewodniczącym Komitetu organizacyjnego wybrano kol. Lipeckiego Włodzimierza, zaś do komisji Statutowej powołano kol. Bazana Władysława, Błońskiego Władysława i Trzcńskiego Wincentego. Komitet organizacyjny został upoważniony do reprezentowania b.żołnierzy S.B.

S.K. do czasu ukonstytuowania się Władz Związku.

Analogiczne zebranie odbyło się w Tel Avivie w dniu 19 listopada 1941, w obecności 32 członków. Zebranie zagaik kol. Alina Karol, witając obecnego na sali p. majora Wróblewskiego, ówczesnego komendanta Placu w Tel Avivie. Na tym zebraniu koledzy z Tel Avivu postanowili zgodnie założyć jeden związek, obejmujący kolegów z Jerozolimy i Tel Avivu. Został też przyjęty projekt Statutu, opracowany przez Komisję Statutową z Jerozolimy z tym, że dla ostatecznego zredagowania statutu powołano nową komisję, złożoną zarówno z kolegów z Jerozolimy, jak i z Tel Avivu, a to: kol. kol. Dr Jan Namyszkowski, Dr Hoffman Zygmunt, Szawiński Robert, Alina Karol, Lipecki Włodzimierz i Barak Władysław. Temu zebraniu przewodniczył kol. Szawiński Robert, a sekretarzem kol. Alina Karol.

W dniu 26 listopada 1941 odbyło się w Tel Avivie zebranie organizacyjne Placówki Związku S.B.S.K. zgodnie z przyjętym Statutem Związku. Obecnych 30 członków. Zebraniu przewodniczył kol. Sas Switelnicki Edward. Na tym zebraniu wybrano władze Placówki w Tel Avivie z prezesem Sas Switelnickim Edwardem i sekretarzem Kropniwskim Janem oraz Delegatów na Walny Zjazd dla dokonania wyboru Zarządu Głównego Związku. Analogiczne zebranie odbyło się w Jerozolimie w dniu 1 grudnia 1941.

W dniu 5 grudnia 1941 odbył się w Jerozolimie pierwszy zjazd Delegatów w hotelu "Petra" i ten dzień należy uważać za datę powstania Związku Byłych Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Na tym zebraniu przyjęto ostatecznie Statut Związku i wybrano Pierwszy Zarząd Główny Związku z Kolegą Lipeckim Włodzimierzem - jako prezesem na czele. W chwili powstania Związku, Placówka w Tel Avivie liczyła 48 członków, zaś Placówka w Jerozolimie 50 członków. Uchwalony Statut przesłano do zatwierdzenia Delegatowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zaś do wiadomości p. Delegatowi Ministra Pracy i Opieki Społecznej w Jerozolimie.

Byli Karpaczczycy zakreślili sobie w Statucie następujące cele:

- a) Prowadzenie dalszej zbiorowej pracy nad rozwojem sił i potęgi R.P.
- b) Utrzymanie łączności z S.B.S.K. i władzami tak wojskowymi, jak i cywilnymi;
- c) kontynuowanie współżycia towarzyskiego i kulturalnego między b. Żołnierzami S.B.S.K.
- d) Obrona praw i interesów oraz wzajemna pomoc;
- e) opieka nad wdowami i sierotami po poległych i zmarłych żołnierzach S.B.S.K.
- f) opieka nad grobami zmarłych żołnierzy S.B.S.K.
- g) zbieranie, przechowywanie i publikowanie materiałów, dotyczących historii i walk S.B.S.K.

Powyższe założenia Statutu świadczą wyraźnie o charakterze Związku S.B.S.K. Cele te były systematycznie, choć powoli realizowane, mimo dużych trudności ze strony czynników miejscowych. Wystarczy wspomnieć, że za cały okres kadencji rocznej pierwszego Zarządu Związku nie udało się uzyskać zatwierdzenia Statutu, a niektóre nawet wysoko postawione osoby wojskowe uznały założenie Związku za co najmniej przedwczesne. Takie stanowisko czynników oficjalnych odbiło się bardzo ujemnie na życiu Związku. Dochodziło nieraz do ostrych zatargów z miejscowymi władzami cywilnymi, a przede wszystkim z ówczesnym Delegatem Min. Pracy i Opieki Społecznej w Jerozolimie.

W czasie I kadencji powstaje trzecia Placówka Związku b. żołnierzy S.B.S.K. w Livingstone (Nowa Rodezja) z prezesem

Księdzem Kapelanem Łomińskim Leonem na czele, licząca w chwili zakładania 16 członków. Z kolegami w Livingstone jest utrzymywany stały kontakt korespondencyjny; jednak duża odległość i niemożność szybkiego skontaktowania się sprawia, że Placówka w Livingstone nie bierze bezpośredniego udziału w życiu organizacyjnym Związku, natomiast jako odpowiedzialna placówka w Afryce godnie reprezentuje nas na tamtejszym terenie.

Za następnej kadencji kol.inż. Radlińskiego Jana, z Tel Avivu udało się nareszcie uzyskać zatwierdzenie Statutu Związku w dniu 23 marca 1943, a tym samym nawiązać nieco znośniejsze stosunki z władzami miejscowymi. W Jerozolimie był w tym czasie prezesem Oddziału kolega Czudowski Michał, zaś sekretarzem inż. Herold Robert. W tym miejscu należy podkreślić z zadowoleniem, że od zarania istnienia naszego Związku bardzo przychylnie odnieśli się do nas Komendant Placu w Tel Avivie p.major Wróblewski oraz zastępca Komendanta Placu w Jerozolimie, p.rotmistrz Płocki.

Trzecia kadencja istnienia Związku rozpoczęła się w dniu 27 lutego 1944 z prezesem Kowalskim Bronisławem. W Oddziale Jerozolimskim funkcję prezesa pełni kol. Szewczyk Franciszek, zaś w Tel Avivie kol. Dr Namysłowski Jan. Obaj prezesi Oddziałów pełnią swe funkcje powtórnie. W czasie tego okresu należy zanotować szereg prac, dokonanych w związku z ogólną sytuacją polityczną Polski. Przez szereg ostrych protestów, wysyłanych do czynników angielsko amerykańskich z jednej strony, jak też zapewnień polskich czynników rządzących o naszym przywiązaniu i lojalności z drugiej strony - Związek Karpatczyków wykazał, że obce mu są różne "nowinki ze Wschodu" i że jego członkowie dotrzymują wiernie przysięgi, złożonej w wojsku nawet po opuszczeniu jego szeregów. Kilka najbardziej charakterystycznych pism i listów w tych sprawach przedrukujemy w niniejszej "Jednodniówce", jako uzupełnienie niniejszego opisu. Działalność Związku wzmożła się w tym okresie dzięki finansowemu poparciu Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny w Londynie. Dzięki tej pomocy wydaliśmy Kalendarzyk kieszonkowy Związku S.B. S.K. na rok 1945 tudzież niniejszą "Jednodniówkę" ku uczczeniu 5-iej rocznicy powstania Brygady Karpackiej.

Szeregi związkowe znacznie się powiększyły, tak że obecnie liczymy w trzech Oddziałach 234 członków. Należy się spodziewać, że wkrótce napłyną do nas nowi koledzy, zwolnieni na skutek ran odniesionych w działaniach wojennych, tudzież chorób nabytych w czasie ciężkiej służby polowej. Przyjmijemy ich z otwartymi ramionami, do naszej dużej rodziny Karpatczyków.

Dla dopełnienia krótkiego rysu historycznego Związku Karpatczyków należy wspomnieć, że nie pomijamy żadnej sposobności dla zaznaczenia, iż bezwzględnie potępiamy akcję tak zwanego Związku Patriotów, z którego wykonał się Komitet Wyzwolenia Narodowego, przemianowany ostatnio w tak zwany tymczasowy Rząd w Lublinie. Pogardzamy tymi ludźmi, którzy służą interesom obcego, a odwiecznie nam wrogiego mocarstwa. Postanowiliśmy nie zboczyć z raz obranej drogi i wytkniętego celu i wierzymy, że uda nam się może już wkrótce doprowadzić Związek do prawdziwie wolnej, niepodległej i suwerennej Polski.

Bronisław Kowalski.



Kilka publikacji Związku S.E.S.K.

List o t w a r t y.

Byłych Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Wojna dobiega do zwycięskiego końca. Wspólny wysiłek Sprzymierzonych niesie wolność ciemiężonym Narodom Europy. Część Włoch i Francji korzysta już z dobrodziejstw Karty Atlantycznej, zaś inne kraje Europy owiane są nadzieją szybkiego wyzwolenia z niewoli germańskiej. Armie czerwone stoją u wrót Warszawy i zdaniem niektórych niosą wyzwolenie Polsce. Jednak Polacy nie mogą cieszyć się wraz z innymi Narodami, nie mogą entuzjasmować się z powodu wspaniałych zwycięstw Aliantów, bo nie widzą jasnej przyszłości dla siebie. Sytuacja polityczna oraz słowa i czyny czynników decydujących, o układzie się powojennej Europy, nie dają nam gwarancji, że piękne zasady Karty Atlantycznej znajdą pełne zastosowanie w odniesieniu do tego Narodu, który pierwszy powiedział gromkie "Nie" i pierwszy oparł się zbrojnie całej nawale niemieckiej. Nie wspomagani przez nikogo w kampanii wrześniowej zostaliśmy pokonani olbrzymią przewagą wroga, ale Naród nie uległ.

Polacy w Kraju prowadzą bezkompromisową walkę w ciągu niespełna pięciu lat. Akcja Podziemnej Armii Krajowej wspomagała wybitnie wysiłek wojenny Aliantów, ostatecznie zaś toczą się na ziemiach polskich walki Armii Krajowej w porozumieniu z dowództwem wojsk sowieckich. Akcja ta jest dobrze zorganizowana i kierowana przez konstytucyjny Rząd w Londynie.

Polacy walczą również poza granicami swego kraju. Pola bitewne Francji, Norwegii, Libii, Włoch i inne były i są znaczone krwią polskich żołnierzy, a był czas po kapitulacji Francji, że Polska była jedynym sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Polskie lotnictwo odegrało nieposlednią rolę w bitwie o Anglię. Setki samolotów niemieckich zostało wówczas zniszczonych przez polskich lotników. Obecnie drugi Korpus Polski walczy we Włoszech u boku Sprzymierzonych. Za wspaniałe wyczyny naszych żołnierzy dowódca tego Korpusu otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń brytyjskich.

Nieustanna i nieugięta walka całego Narodu, kierowana przez Rząd Polski i Naczelne Dowództwo w Londynie zjednała nam sympatię i uznanie całego świata prawdziwie demokratycznego. Nazywano nas do niedawna "Natchnieniem Narodów" a w czasie wizyty polskiego premiera w Waszyngtonie, prezydent Roosevelt powiedział między innymi, że "nieugięta wola Polskiego Narodu odzyskania wolności oraz niezłomny duch polskich bojowników są najlepszą rękojmią, że Polska odzyska słusznie należne miejsce wśród wolnych Państw Świata". Nie było do niedawna mowy o realizmie politycznym, bo przyświecały hasła wolnościowe i piękne zasady Karty Atlantycznej o samostanowieniu Narodów bez mieszania się w ich sprawy wewnętrzne. Polacy wierzyli, że głoszone hasła zostaną w pełni zrealizowane i że Polska czyniła rozsądnie, ufając, iż z wojny obecnej wyjdzie co najmniej w granicach przedwojennych.

Ostatnie wydarzenia polityczne zmuszają Naród Polski do postawienia pytania, czy po to zostaliśmy "Natchnieniem Narodów", aby w miejsce imperializmu germańskiego dostać się w przemoc i gwałt drugiego imperializmu? Czy broniliśmy naszego honoru w roku 1939 po to, aby go splamić w roku 1944 przez wyrzeczenie

się znacznych połaci wschodnich ziem polskich, bo jest życzeniem niektórych, aby istniała Polska przyjazna dla Rosji. I te ofiary mamy ponosić dlatego, że szkody, jakie poniosła Rosja na skutek marszów Niemców na Rosję są znaczne. Można by z tego sądzić, że to Polska ponosi winę tych szkód rosyjskich, ta Polska, która zawsze odrzucała kategorycznie propozycje wspólnego marszu przeciw Rosji. Nie chcemy tu wspominać o tym, jaki to układ spowodował wybuch obecnej wojny. Polska stale wyrażała chęć do przyjaznych stosunków ze wschodnim sąsiadem, nawet po doznanych krzywdach pod okupacją sowiecką. Poprzez układ w roku 1941 przez poruczenie pośrednictwa w sprawach polsko-rosyjskich naszym Aliantom, aż do podróży naszego premiera do Moskwy, wykazaliśmy wolę współpracy z Rosją, ale na zasadach suwerenności obu Państw. Lecz nie możemy dopuścić do mieszania się w nasze sprawy wewnętrzne. Nie potrzeba Polsce innych rządów, narzucanych siłą przez obce mocarstwo, bo mamy Rząd w Londynie, cieszący się zaufaniem całego Narodu. Nie wolno nikomu negować stanowiska naszego walczącego Kraju, wyrażonego w depeście do prezesa Rady Ministrów w dniu 28 stycznia 1944. Depesza ta solidaryzuje się z Rządem w Londynie odnośnie nawiązania dobrych stosunków z Rosją, ale zarazem podnosi się nienaruszalność wschodniej granicy polskiej i domaga się, aby wojska sowieckie, wkraczając na teren Rzeczypospolitej Polskiej "w pełni respektowały na tych terenach prawa władz Państwa Polskiego i prawa Jego obywateli". Odezwa domaga się od świata zapewnienia, że nikt Polsce nie zabierze żadnych ziem, że nikt nie będzie miał prawa ingerencji w nasze życie wewnętrzne a Rząd nasz, opierający się o rzeczywistą opinię publiczną Kraju, będzie uszanowany w swych prawach.

Byli żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich popierają w zupełności stanowisko Kraju i oświadczają, że jedynie po to walczyli wspólnie ze Sprzymierzonymi przeciw imperializmowi niemieckiemu, aby po wojnie zapanowała sprawiedliwość, prawdziwa wolność i moralność. Zwracamy się przeto z apelem do naszych wielkich Sprzymierzeńców Anglii i Ameryki, aby wzięli w obronę szlachetną sprawę polską i użyli wszystkich możliwych środków, by jednostronne decyzje jednego z członków obozu Sprzymierzonych nie gwałciły podstawowych zasad prawa międzynarodowego, tudzież szczytnych założeń wolnościowych "Karty Atlantyckiej". Nasz polski realizm domaga się Polski z Wilnem i Lwowem. Nasza polska racja stanu wymaga, aby do Warszawy zdobywanej obecnie od wewnątrz przez oddziały Polskiej Armii Krajowej wrócił jedyny polski Rząd i objął administrację wyzwolanych terenów polskich. Takie załatwienie sprawy wzmocni pozycję moralną obozu Sprzymierzonych. Takie załatwienie sprawy udowodni całemu światu prawdziwie demokratycznemu, że zasady "Karty Atlantyckiej" są realizowane w stosunku do wszystkich Narodów nie tylko w słowie, ale i w czynie.

Związek Byłych Żołnierzy

Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

ZWIAZEK B.ŻOŁNIERZY  
SAM.BRYGADY STRZELCOW KARPACKICH  
w Jeruzolimie

Jeruzolima, dnia 18 listopada 1944

Pan Prezydent Roosevelt

Waszyngton  
-----

My, Polscy żołnierze spod Tobruku, Gazali, Warszawy, Wilna, Lwowa, Nowogródka, Tarnopola, Stanisławowa, Katowic, Poznania, Gdyni, Westerplatte, Narviku....., dzisiaj już inwalidzi wojenni, zjednoczeni w Związku B.Żołnierzy Sam.Brygady Strzelców Karpackich, mamy zaszczyt złożyć Ci, Panie Prezydencie, wyrazy szczerzej gratulacji z okazji odniesionego zwycięstwa w ponownym wyborze na Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Słemy Ci, Panie Prezydencie, nasze z serca żołnierskiego przynące życzenia, aby nowy okres Twojej pracy był okresem pełnego zwycięstwa tych haseł i ideałów, których gorącym orędownikiem raczyłeś być do tej pory. Niech nowy okres urzędowania będzie ukończeniem i zrealizowaniem tych wszystkich Twoich wysiłków, które raczyłeś podjąć przed laty w walce o wolność ludzkości, jej cywilizacji i kultury.

Wierzmy, że nasza Ojczyzna Polska, o której powiedziałaś, że jest "natchnieniem narodów", zgodnie z Twoją zapowiedzią "musi być odbudowana jako wielki Naród", gdyż ważne jest, aby nowa Polska stała się fundamentem struktury, od której spodziewasz się, że utrzyma trwały pokój. Zapewniamy Cię, Panie Prezydencie solennie, że w swoich rachubach nie zawiedziesz się na Ojczyźnie Kościuszki, Puławskiego i Paderewskiego, nie zawiedziesz się na narodzie, który pierwszy z bronią w ręku przeciwstawił się napaści naszego wspólnego wroga i szósty rok walczy z nim, a jak walczy tego dowód dała całemu światu bohaterska Warszawa.

Wierzmy, że Twoje wielkie poczucie sprawiedliwości i poszanowania prawa nie dopuści do tego, aby Polska została skrzywdzona.

Wierzmy, że potomkowie Kościuszki i Puławskiego odzyskają swoją ojczyznę, nie tylko w jej nieuszczerplonych granicach, lecz, że pod jej rozszerzonym dachem znajdą schronienie wszyscy Polacy, których wrogowie świata pojмали do niewoli.

Wierzmy w sprawiedliwość Boską i ludzką i ufamy, że szlachetność naszej sprawy i prawo musi odnieść zwycięstwo.

Racz, Panie Prezydencie, przyjmując jeszcze raz nasze staropolskie życzenia: "S z c z ę ś ć B o ż e" w trudnej, ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, która oczekuje Ciebie i Wielki Naród Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

ZARZĄD ZWIĄZKU B.ŻOŁNIERZY SAMODZIELNEJ POLSKIEJ  
BRYGADY STRZELCOW KARPACKICH.

ZWIĄZEK B.ŻOŁNIERZY SAMODZIELNEJ  
BRYGADY STRZELCÓW KARPACKICH

w Jerozolimie

---

Jerozolima, dnia 15 grudnia 1944r.

Do

Pana A R C I S Z E W S K I E G O Tomasza

Premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej

w Londynie

---

W dniu 15 grudnia 1944r. obchodząc trzecią Rocznicę sławnych zmagañ Polskiej Brygady Strzelców Karpackich w Tobruku i pod Gazalą, usłyszeliśmy ze zdziwieniem, a nawet przerażeniem niesłychaną wypowiedź Premiera Wielkiej Brytanii p. Winstona Churchilla w sprawie Polski, w której między innymi powiedział, iż Polska winna oddać Lwów i obszar na wschód od tak zwanej linii Curzona na rzecz Rosji sowieckiej.

Żywo protestujemy przeciw podobnemu traktowaniu nas i naszych granic przez przedstawiciela Rządu tej Wielkiej Brytanii, której zawsze dotąd dochowywaliśmy słowa i wierności z głęboką wiarą, że ona również stać będzie po stronie sprawiedliwości i prawa.

Ojczyzna nasza nie może być przedmiotem czyichkolwiek targów. My, inwalidzi walk w Tobruku i pod Gazalą przelewaliśmy krew za całą, nieszachrowaną Polskę. Frymarczyć jej granicami i synami naszej Ojczyzny nigdy nie pozwolimy. Nie po to podjęliśmy broń, aby po trudach i ofiarach lat sześciu bezmała wyzbywać się odwiecznie polskich ziem na rzecz nienasyconego i pchającego się odwiecznie na zachód rosyjskiego imperializmu. My, żołnierze Polski walczącej, mając pełne zaufanie do Pana Premiera, jako prawowitego Przedstawiciela całego naszego Narodu prosimy, aby Pan Premier ostro zaprotestował u Jego Królewskiej Mości i Rządu Brytyjskiego przeciwko wystąpieniu, jakie miało miejsce w ostatniej, krzywdzącej cały naród polski, mowie Premiera Anglii. Prosimy Pana Premiera, aby przypomniał Premierowi W. Brytanii p. Churchillowi jego słowa, wypowiedziane między innymi przez radio do Narodu Polskiego w dniu 3 Maja 1941:

".....Ślemy wam orędzie nadziei i otuchy. Przeświadczeni jesteśmy wraz z Ameryką i całym światem, że rozpacz nie zakamie Was nigdy i, że nikomu nie uda się zakamie waszego ducha..... Zwycięstwo wynagrodzi wszystkie cierpienia, wszystkie trudy i wszystkie bóle tych, którzy służą sprawie wolnej Europy i wolnego świata....."

Związek b.Żołnierzy Samodzielnej  
Brygady Strzelców Karpackich

w Jerozolimie.



Apel do Cywilizowanych Narodów Świata o Pomoc dla Bohaterskiej Warszawy oraz dla Całego Narodu Polskiego w tej Krytycznej dla Niego Chwili.

Bohaterska Warszawa już po raz drugi w tej wojnie krwawi się w gigantycznej walce z przeważającymi siłami wroga.

W 1939 roku padła Warszawa, nie mogąc otrzymać pomocy Aliantów. Gdy wojska rosyjskie w potężnej ofensywie na Polskę stanęły niemal u samych wrót stolicy Polski, Armia Krajowa wszczęła otwarte powstanie przeciwko Niemcom.

Trzy tygodnie bohaterskich zmagañ z okupantami pociąga za sobą niezliczone ofiary. Giną najlepsi synowie Polski. Bohaterskie miasto stoi w płomieniach. Gen. Bor, dowódca Polskiej Armii Krajowej w Warszawie wzywa pomocy Aliantów, gdy wojska rosyjskie omięły stolicę Polski, a ofensywa rosyjska skierowana została na inne odcinki frontu.

Na apel gen. Bora przesłana została pewna pomoc ze strony Anglii i Ameryki w postaci broni i amunicji, która dotarła już obrońców Stolicy Polski.

Tysiące km lotu przez tereny wroga naraża lotnictwo alianckie na duże straty, przy minimalnej pomocy dla walczących. Krocio-  
we armie sowieckie stoją w pobliżu. Naczelne dowództwo sowieckie patrzy obojętnie na ciężkie zmagania się wojsk Gen. Bora. Czy nie należało by przypuszczać, iż Rosji zależy na tym, by powstanie w Warszawie upadło, przy olbrzymich ofiarach i dodatkowym dalszym wymordowaniu setek tysięcy Polaków za wywołanie powstania?

Czy świat cywilizowany może patrzeć z zimną krwią na tyle okropności i nieprawości w stosunku do tego najbardziej bohaterskiego, a zarazem najniešťęśliwszego w tej wojnie Narodu i Kraju?

W chwili, gdy misja premiera Mikołajczyka nie dała pozytywnych wyników, a sprawa Polski w momencie krwawego powstania nie została we właściwy sposób rozwiązana przez walczący obóz alian-

cki, gdy niezależnie od walk w Kraju, Armia Polska bije wroga na wszystkich frontach, Związek byłych Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich zwraca się do całego świata cywilizowanego z gorącym apelem i stanowczym żądaniem, aby:

- 1) walczącej Bohatersko Warszawie została udzielona pomoc w takiej ilości, by Armia Krajowa była w stanie wyzwolić stolicę Polski z rąk okrutnego wroga.
- 2) do Warszawy została wysłana bezwzględnie międzyaliancka komisja, która broniłaby praw polskich i nie dopuściła do Warszawy marionetkowego rządu, który słuchałby rozkazów nadawanych z Moskwy.
- 3) dowództwo sowieckie zaprzestało aresztowań i wywożenia w głąb Rosji członków Armii Krajowej oraz tych wszystkich, którzy okazują swą lojalność i przywiązanie do legalnego Rządu R.P. w Londynie, do Prezydenta oraz do Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych Gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

To są główne żądania Polaków, które powinny być spełnione w imię sprawiedliwości i zasad, dla których Zjednoczone Narody prowadzą obecną wojnę.

Związek b. Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Jerozolima, dnia 21 sierpnia 1944 r.

... List do Wysokiego Komisarza Palestyny  
... Lorda GORTA...

... Ekscelencjo!

W najcięższej chwili dla naszego Kraju w ciągu obecnej wojny, my, byli żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, zwracamy się do Waszej Ekscelencji, jako do jednego z najznakomitszych żołnierzy naszego Sojusznika, Wielkiej Brytanii.

Przybyliśmy na Środkowy Wschód, aby walczyć wspólnie z Wielką Brytanią o całość, niezawisłość i honor naszego Narodu. Tworzyliśmy dziwny zespół ludzi: chłop, robotnik, rzemieślnik obok b. ministra, rdzianina, dyplomaty, przemysłowca - niemal przyodzianą w mundury brzośienkie. Łączyły nas dwie wspólne myśli-przewodnie: miłość do naszego Kraju i bezwzględne zaufanie do Wielkiej Brytanii, co tak pięknie podkreślił Premier Churchill, zwracając się do zmarłego gen. Sikorskiego: "Złączyliśmy się na śmierć i życie".

Bozumieliśmy, że bez gwarancji Brytyjskich, wystąpienie nasze przeciw potęgę niemieckiej równałoby się samobójstwu - dlatego treść traktatu, podpisanego dnia 25 sierpnia 1939 stała się Ewangelią zarówno naszą, jak i żołnierzy polskich umierających w Polsce, Narwiku, Tobruku, pod Monte Cassino, Francji i na innych licznych polach bitew.

Wierzyliśmy, że nic z tego, co było ustalone między przedstawicielami naszych narodów, a potem uświęcone wspólnie przelaną krwią w imię wspólnych ideałów, nie może być zmienione, że każda litera, każdy przecinek są święte, nienaruszalne.

Nigdy o nic nie zwracaliśmy się do społeczeństwa angielskiego. Nie dziwiło nas nawet i to, że gdy opuściliśmy szeregi armii nikt z Anglików nie powiedział nam: "dziękuję", bo i za co? Przecie i tutaj na Środkowym Wschodzie walczyliśmy o Polskę, o jej łączność z Zachodem, za co wszyscy Polacy gotowi byli zapłacić każdą cenę, nawet ruinami Warszawy, śmiercią naszych najbliższych, zniszczeniem gospodarczym Kraju, ofiarą Majdanka, Treblinki i Oświęcimia. Byliśmy dumni, że Kraj tę cenę płacił z taką godnością, że nie było wśród nas ani Hachy, ani Quislinga.

Wierzyliśmy, że słowa Ambasadora Hendersona, wypowiedziane do Hitlera, gdy sugerował mu możliwość odstąpienia od paktu, podpisanego z Polską: "Słowo jest słowem, myśmy go nigdy nie złamali" i nie złamamy go nigdy" - wypowiedziane były w imieniu całego narodu angielskiego i że nic nas nie zdoła rozłączyć, ani podczas trwania wojny, ani po jej zakończeniu.

W ciągu pięciu lat nie wskazywało, że stosunki nasze mogą ulec jakiegokolwiek zmianie. Podobnie jak tu chłop i robotnik nosili ten sam mundur strzelca, co przemysłowiec i ziemianin, tak i tam w Kraju socjalista razem z monarchistą walczyli przeciw wspólnemu wrogowi. Rząd Brytyjski korzystał z tego krwawego wysiłku Polaków w Kraju i za granicą, a nikt nie kwestionował legalności naszego Rządu, który kierował wszystkim w tym czasie. Prezydentowi i temu właśnie Rządowi złożyliśmy naszą przysięgę żołnierską.

Kraj nasz poniósł straszne ofiary - 6 milionów zabitych przez Niemców, dwa miliony deportowanych przez Sowiety, całkowicie zrujnowana stolica naszego Kraju, gród niepamiętny od wieków, dorobek tysiąca lat legł w gruzach - wszystko w imię hasła naszej przynależności do Zachodu, z którym łączy nas kultura, tradycja i wiara.

Dlatego uchwały konferencji Krymskiej wstrząsnęły nami głęboko, tym głębiej, że żywo czujemy ból i rozpacz naszych najbliższych, którzy pozostali w Polsce.

Oni tam mieli nadzieję ujrzenia Oddziałów Brytyjskich i Amerykańskich. Przecież pełnienie warty przez żołnierzy brytyjskich i amerykańskich w Gdyni, Warszawie, Wilnie, Lwowie, Poznaniu i Krakowie - niech by tylko warty honorowej - byłoby tylko spłatać dżugu za naszą służbę w Tobruku, Aleksandrii i w różnych miastach W. Brytanii; a przecie przyszliśmy tu w nadziei, że ten żołnierski dług honorowy będzie nam spłacony.

Przecież nie spodziewaliśmy się, że ci, którzy zadali nam cios w plecy, ci którzy podpisali z Niemcami w dniu 28 sierpnia 1939 umowę o czwartym rozbiórce Polski, którzy deportowali 2 miliony Polaków, wśród nich starców, kobiety i dzieci - mogli być na serio uważani za naszych oswobodzicieli i jedynych gwarantów naszej niepodległości.

Nikt nie może wymagać od Polaków, by wierzyli, że ci, którzy hołdują dyktaturze jednej warstwy, terror uważają za dopuszczalne narzędzie walki z każdą opozycją - mogli być uznani za gwarantów naszego ustroju demokratycznego.

Gdyby sprawa oddania jednej trzeciej naszego terytorium była postawiona w przeddzień wybuchu wojny, musiałyby wywołać sprzeciw całego społeczeństwa, które oparło się jednomyślnie oddaniu Gdańska. Bo dla nas każda piędź naszej ziemi jest świętą.

Z odrazą myślimy o tych, którzy odważają się znieważać bohaterów obronców Warszawy z gen. Bor Komorowskim na czele, o którym Ivor Thomas na sesji, w dniu 15 grudnia 1944 powiedział: "To whom no one in this assembly is fit to hold a candle".

Przecież nic nie ma w komunikacie krymskim ani o natychmiastowej pomocy U.N.R.R.A. dla głodującej ludności polskiej, ani o powrocie wywiezionych na Sybir i do Archangielska Polaków, ani o umożliwieniu nam porozumienia się z naszymi najbliższymi bez narażenia ich na prześladowania i to po 6 latach wojny.

Nie możemy się oprzeć przekonaniu, że Brytyjczycy, wychowani na zasadach Pisma Świętego i moralności chrześcijańskiej opierają swą politykę na oportuniźmie i na niesprawiedliwości wobec jednego ze swych najwierniejszych sprzymierzeńców - Polaków, którym Anglicy mają tak wiele do zawdzięczenia. Świadczy o tym powiedzenie Thomasa M.P. "If it had not been for Polish Airmen who fought on the battle of Britain, we might have been gone under in 1940, for the margin was very narrow".

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku dla Waszej Ekscelencji

Sekretarz  
Związku S.B.S.K.

Prezes  
Związku S.B.S.K.

Więch Henryk

Kowalski Bronisław.

Szewczyk Franciszek.

### Rzut oka na dzieje S.B.S.K.

Dzień 2 kwietnia w zasadzie dla ogółu naszego społeczeństwa nic nie mówi i nie różni od innych 365 dni kalendarzowych.

Dla nas Karpaczków dzień 2 kwietnia jest inny od pozostałych; ma dla nas inne znaczenie, a data 2 kwietnia posiada u nas specjalny wyraz i dźwięk. W tym dniu bowiem narodziła się Brygada Strzelców Karpackich, w której szeregach było nam dane służyć pod rozkazami Rządu Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza i walczyć o wolność Narodu i Państwa.

Rozkaz Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego powołał do życia z dniem 2 kwietnia 1940 roku, Brygadę Strzelców Karpackich.

Dziś, w 5-ciolecie istnienia Brygady, pragniemy odświeżyć w naszej pamięci - rzecz oczywista stylem telegraficznym - najważniejsze daty z życia i historii naszej Karpackiej.

X X X

Naczelnny Wódz wyznaczył ówczesnego pułk. dyplom. Stanisława Kopańskiego na dowódcę Brygady, a majora Jerzego Zarembe na szefa jej sztabu.

Brygada Karpacka miała wchodzić w skład armii Lewantu, organizowanej przez pierwszego żołnierza Francji, generała Weygand. Sprzymierzeni, a w szczególności Wielka Brytania, pokładała w niej wielkie nadzieje. Klęska Francji obaliła wszystkie rachuby.

Sztab Brygady Karpackiej przyjechał z Francji.

Stany Brygady miały być rozbudowane ze zgrupowań internowanych żołnierzy i przybyłych z Polski na teren Węgier i Rumunii. Kadra oficerska i podoficerska miała również stamtąd przybyć.

Wystarczy tylko rzut oka na mapę Środkowego Wschodu, ażeby sobie zdać sprawę z trudności, na jakie musiało napotykać zasilanie tej jednostki z tak odległych ośrodków jak te, które znajdowały się na terenie Rumunii i Węgier. Najodpowiedniejszą była droga morska i z niej też korzystano. Żołnierze polscy internowani na Węgrzech i Rumunii oraz spore ilości młodzieży, która przychodziła spod obu okupacji do wyżej wspomnianych krajów, kierowani byli do portów Morza Śródziemnego, jugosłowiańskich i greckich, skąd przywożeni byli okrętami do stacji zbornej w Bejrucie w Syrii.

Mogło się wydawać, że to wszystko było tak proste, ale ci, co tą robotę organizowali i ci, co tę drogę odbyli wiedzą, ile trudności trzeba było pokonać, aby dojść do celu.

Dno rzeki D r i n y i ciche, śniegiem zasłane "c h o d y" wśród Karpackich dolin, usłane były często nieznanymi trupami tych, którym nie było dane dojść... Ginęli oni od kul tak niemieckiego, jak też sowieckiego najeźdźcy, zamarzali w zaspach

śnieżnych...

Brygada składała się z ludzi reprezentujących wszystkie stany. Wiek był różny, od kilkunastoletnich wyrostków do ludzi poważnych wiekiem. Byli tam ze wszystkich stron Polski i spoza Polski, gdyż nawet z dalekiego Charbina i Szanghaju. Byli nawet tacy, którzy w ogóle języka polskiego nie znali, gdyż w którymś tam pokoleniu mieszkali poza granicami Polski, ale zew krwi polskiej rozkazywał im śpieszyć do Wojska Polskiego i walczyć o Polskę, która pierwsza chwyciła za broń przeciwko Niemcom, gdy inni z nią pakowali.

Miejscem postoju Brygady w Syrii była miejscowość Homs.

W czerwcu 1940 roku armia Lewantu, którą wówczas dowodził gen. Mittelhauser po objęciu przez gen. Weyganda naczelnego dowództwa sił zbrojnych Francji, weszła w okres moralnego przesilenia.

Francja przyjęła niemieckie warunki zawieszenia broni. Gen. Mittelhauser najpierw oświadczył, że będzie się bił dalej, a później poszedł z Francją Petaina.

Położenie, które się wytworzyło było trudne dla Dowódcy Brygady. Dowódca Brygady musiał sam podjąć decyzję. Sytuacja jego była o tyle ułatwiona, iż Naczelny Wódz gen. Sikorski przesłał mu specjalne wytyczne przez radio angielskie. Kazał mianowicie wszystkim Polskim Siłom Zbrojnym nawiązać natychmiastową łączność z dowództwami angielskimi i z nimi współdziałać. Dowódca Brygady postanawia "oderwać się" od Francuzów i przejść do Palestyny. Francuzi starają się mu przeszkodzić i nawet Brygadę rozbroić, a żołnierzy internować.

Dowódca - znając nastroje żołnierzy Brygady - miał sytuację ułatwioną i mógł powziąć taką decyzję, jaką mu nakazywał honor Żołnierza Polskiego.

W imię prawdy należy stwierdzić, że mieliśmy w sztabie francuskim przyjaciół, którzy wiele ułatwiali i chcieli nam dać jak największą ilość sprzętu wojennego. Pod każdym względem zasługuje na wyróżnienie ówczesny pułkownik de Larminat, który usunął niejedną trudność na własną rękę i, rzecz oczywista, odpowiedzialność.

Pierwszym miejscem postoju Brygady na ziemi Palestyńskiej był Samakh nad brzegami Morza Galilejskiego. (jeziora Tyberiadzkiego)

W pamięci naszej pozostanie uroczystość Sw. Piotra i Pawła w dniu tym bowiem zostało odprawione pierwsze nabożeństwo na Ziemi Świętej. Kapelan w kazaniu powiedział, że zrzuceniem Opatrzności, Polskie Siły Zbrojne stanęły obozem na tym miejscu, gdzie Chrystus Pan i Jego uczniowie nauczali. Wrażenie mszy świętej i kazania było wielkie.

Po parodniowym pobycie nad jeziorem Tyberiadzkim, Brygada przeniosła się do Latrun (El Atrum), który był miejscem postoju Brygady do końca jej pobytu w Palestynie.

Jeśli chodzi o pobyt Brygady w Palestynie, to powiedziałbym, że Brygada żyła się z Palestyną, a Palestyna z Brygadą. Dowodem tego są, choćby odwiedziny urlopowanych, którzy zawsze śpieszyli do Palestyny.

Pierwszym występem Brygady w Palestynie była uroczystość Żołnierza Polskiego w dniu 15 sierpnia 1940 roku. Defilada przed Wysokim Komisarzem Palestyny, angielskim Dowódcą Sił Zbrojnych i pułk. Kopąnskim.

Do Egiptu przechodzi Brygada we wrześniu 1940 roku.

---

Miejscowości Dekheila, Mex, Matruh, Baghush mówią same za siebie.

Pokożenie Anglii było w tym czasie ciężkie; nad Londynem szalała nawała lotnicza. Jak było w Egipcie wiemy, ale my nie przyszliśmy politykować, lecz bić się o Polskę. Nie żądaliśmy żadnych weksli. Wystarczyły nam historyczne - niestety - dzisiaj tylko historyczne słowa: "Idziemy razem z wami na śmierć i życie".

My, Polacy, idziemy dalej raz obroną drogą, chociaż czujemy, że ktoś za nami nie podąża...

Dnia 24 października 1940 roku przybył do Egiptu minister spraw zagranicznych, Anthony Eden, który nas odwiedził i odebrał defiladę.

W dniu 9 grudnia 1940 roku siły angielskie uderzyły na Włochów i rozbiły ich w rejonie: Sidi Barrani, Bug Bug i Sollum.

Padają włoskie twierdze Sollum, Bardia, Tobruk, Bengazi, Agadabia i El Agheili; miejscowości te mówią nam, Karpaczykom, wiele, bardzo wiele.

Jesienią 1940 roku Naczelny Wódz generał Sikorski mianował pułk.dypl. Stanisława Kopańskiego generałem, a pułk. Walentego Peszka - pułkownikiem.

Tobruk - to jedna z najpiękniejszych kart Karpackiej Brygady. Nie jest zamiarem niniejszego szkicu opiewać bohaterские czyny bojowe Karpaczyków, temat ten bowiem omówiła już obszernie i nasza i obca literatura i jest on ogólnie znany.

Generał Sikorski podczas swego pobytu na Środkowych Wschodzie przybył do Tobruku, w którym spędził 24 godziny. Odwiedził wiele naszych pozycji. Przyjazd naszego Naczelnego Wodza do nas, Żołnierzy polskich, walczących w twierdzy tobruckiej, napawał nas szlachetną dumą; takim zaszczytem nie mogli się pochwalić nasi towarzysze broni innych narodowości, gdyż żaden z ich naczelnych wodzów do Tobruku nie przybył. Gen. Sikorski udekorował wielu orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Pobyt Jego wywarł na nas wielkie wrażenie i dodał nam siły do dalszej walki o Polskę.

Nie można pominąć Gazali, gdzie Brygada wzięła do niewoli oficerów i żołnierzy niemieckich i włoskich oraz wielkie zapasy nieprzyjacielskiego sprzętu bojowego.

Najbardziej błyskotliwym działaniem Brygady Karpackiej było bez wątpienia natarcie pod Gazalą I. Najtrudniejszym jednak i wymagającym największego hartu ducha i woli był okres Tobruku i okres Gazali II. Oba szare i Żmudne, pociągnęły za sobą dużo ofiar.

	Oficerów	Szeregowców
a) Zabitych i zmarłych w szpitalu z ran odniesionych na froncie	7	132
b) rannych	43	424
c) zaginionych i wziętych do niewoli	1	14

Nadanych odznaczeń:

Oficerowie Szeregowcy

1) Orderów Virtuti Militari	12	22
2) Krzyży Walecznych	153	609
3) Odznaczeń angielskich	11	10
4) " czeskich	9	10

Udzielenie pochwał:

1) Jedorazowo	93	775
2) Dwukrotnie: dla pułku art. Karpackiej 4 komp. plutonu carrierów z I Baonu, Szwadronu Zbiorowego Pułku Ułanów, Patrolu z II Baonu.		

Tak przedstawia się w stylu telegraficznym historia naszej Brygady Karpackiej.

Dzisiaj mija pięć lat od dnia narodzin naszej Karpackiej. W życiu jednostki, grup społecznych - okres pięciu lat nie jest zbyt długi, gdy będziemy do tego tematu podchodzili miarą, którą stosowaliśmy w czasach pokojowych. W czasie wojny w ogóle, a w szczególności w czasie obecnej wojny okres 5-ciu lat dla żołnierza jest okresem wielkim.

W tych pięciu latach byliśmy świadkami pięknych rzeczy, pięknych szów, pięknych nadziei. W okresie minionych pięciu lat rzucono zręby pod budowanie przyszłych pięknych gmachów, obiecywano naprawić krzywdy nam zadane. Mówiono nam: Idziemy razem na śmierć i życie! Ale to było w 1940 roku, w czasie nalotów na Londyn; dzisiaj mamy kwiecień 1945 roku, w którym jesteśmy świadkami burzenia sprawiedliwych zamierzeń.

Czyż po to biliśmy się, na to podchorąży Pieniążek, kawaler orderu Virtuti Militari i tyłu, tyłu innych zginęło w Tobruku, aby nam dzisiaj mówić o konieczności zrezygnowania ze słusznych naszych praw do wschodniej granicy? My żołnierze Rzeczypospolitej, wierni rozkazom prawowitego rządu w Londynie i Naczelnego Wodza, oświadczamy, że nie spoczniemy, aż przywrócimy Ojczyźnie prawdziwą wolność i obronimy Ją od wszystkich wrogów. Nie po to biliśmy się i bijemy poza granicami Polski, a obywatele Rzeczypospolitej Polskiej tam w Kraju, abyśmy godzić się mieli na linię ustaloną bandyckim podziałem między dwoma najeźdźcami Polski w 1939 roku. Umowa o podziale Polski, dokonana przez III-cią Rzeszę Niemiecką i Rosję Sowiecką nas nie obowiązuje. Linia Ribbentrop i Mołotow urągą najprymitywniejszym zasadom moralności i nigdy się na nią nie zgodzimy. Taką samą odpowiedź szyszymy z Kraju, który dalej walczy, choć walka to nader ciężka i ofiarna.

Wszystkim, którzy robią zamach na naszą wolność i całość naszych ziem odpowiadamy: Polska na każdy zamach, który by godził w Jej całość, da najeźdźcy taką odpowiedź, jaką dała III-ciej Rzeszy Niemieckiej w 1939 roku.

Żołnierz Polski, który spod Piramid i szlaku Sułkowskiego i Ziemi Egipskiej przeszedł na szlak Dąbrowskiego czuwa, walczy i maszeruje pod rozkazami jedyne polskiego Naczelnego Wodza, maszeruje żołnierskim krokiem z bronią w garści do Polski, której granice nie mogą być i nie będą uszczuplone! Żołnierz Polski, któremu na imię Naród Polski, zaciągnął dzisiaj wartę i czuwa. Kolegom, którzy walczą dzisiaj, na szlaku Dąbrowskiego ślemy żołnierskie pozdrowienia wraz z zapewnieniem, że czuwamy i na rozkaz Naczelnego Wodza, choć jesteśmy inwalidami chwycimy za broń, aby bić się z każdym najeźdźcą naszej ziemi i gwałcicielem naszej suwerenności.



## "Brygada Karpacka w Belgradzie"

Niewesoło zapowiadał się początek 1941 roku w Jugosławii. Wpływy niemieckie w ówczesnym rządzie jugosłowiańskim rosły z dnia na dzień. Hitler coraz silniej naciskał i domagał się, aby Jugosławia przystąpiła do frontu "osiowego". Ten stan rzeczy znajdował swój wyraz również w stosunku niektórych władz jugosłowiańskich do Polaków. Pojawiały się coraz to nowe zarządzenia policyjne, obostrzenia przepisów w sprawie pobytu w większych miastach. W gnachu policji i ministerstwie spraw wewnętrznych w Belgradzie kręciło się mnóstwo agentów niemieckich. Na ulicach uzewnętrzniała się "pięta kolumna", charakterystyczna białymi pończochami i specjalnego typu niemieckimi kapelusikami.

Patrzyliśmy na to z dużym niepokojem, boć przecie przez Jugosławię wędrowało tysiące ludzi do Armii Polskiej do Syrii, a następnie do Palestyny.

Na temat tej armii, co pewien czas, pojawiały się notytki w prasie jugosłowiańskiej. Usiłowania czynników polskich szły w tym kierunku, aby tych notatek było jak najmniej. Chodziło o nie zwracanie uwagi i wyolbrzymianie tej sprawy ze względu na agentów niemieckich, czyniących wszystko, aby uniemożliwić transportowanie żołnierzy polskich.

Wyobraźnia - trochę nam nie dopisywała. Nie bardzo umieliśmy wyobrazić sobie, jak żołnierz polski, przyzwyczajony do surowego, europejskiego klimatu wytrzyma fizycznie na gorących pustynnych piaskach. Rychło mieliśmy możliwość przekonać się, iż dla żołnierza polskiego nie istnieją przeciwności klimatyczne, że w najtrudniejszych nawet warunkach nie tylko zniesie je doskonale, ale wykaże taką sprawność żołnierską, iż sławą okryje sztandary polskie w bitwach o Tobruk i Gazalę.

Do charakterystyki i oceny sytuacji politycznej Jugosławii w początkach 1941 roku dodać i podkreślić należy, iż większość społeczeństwa jugosłowiańskiego, a w szczególności serbskiego odnosiła się zdecydowanie wrogo do polityki proniemieckiej swego rządu. Tego rodzaju nastroje uzewnętrzniały się w różnego rodzaju manifestacjach. Serbowie, poza tym, w bezpośrednich kontaktach z Polakami dawali niedwuznacznie wyraz swoim uczuciom, swemu wrogiemu nastawieniu do Niemiec, a sympatiom do Polski. Zresztą sympatie te wyrażali nie tylko w słowach ale i w czynach, ułatwiając przerzucanie ludzi przez granicę jedną czy drugą (węgiersko-jugosłowiańską i jugosłowiańsko-grecką), ostrzegali przed agentami niemieckimi, ułatwiali wysyłanie paczek żywnościowych do Kraju, opiekowali się Polakami przybyłymi z Węgier i Rumunii do Jugosławii.

Jeśli chodzi o bardziej zbiorowe manifestacje to przejawiały się one w dość oryginalny, ale i sympatyczny sposób. Oto w kinach wyświetlano przed normalnym programem dodatki wojenne, raz niemieckie, to znów angielsko - amerykańskie. Gdy wyświetlano niemiecki dziennik wojenny - na sali rozlegało się gwizdanie i tupanie. Gdy wyświetlano angielski - publiczność biła brawo. Doszło w końcu do tego, iż na interwencje posła niemieckiego we wszystkich kinach, przed rozpoczęciem programu, wyświetlano napis ostrzegający, że o ile publiczność nie będzie zachowywała się spokojnie i będzie demonstrowała swe uczucia, przerwane zostanie wyświetlanie filmu.

Pewnego dnia, bodaj, że w miesiącu lutym 1941 roku, w najpiękniejszym kinie pod nazwą "Beograd" wyświetlano angielski dziennik wojenny. I oto w pewnym momencie na ekranie pojawiły się polskie oddziały "gdzieś na Sr. Wschodzie", defilujące przed ministrem Edenem, który w tym czasie bawił na Sr. Wschodzie i jeździł do Turcji. Minister Eden, generał Wavell stali w otoczeniu grupy polskich oficerów na czele z pułkownikiem Kopańskim. Komentarz brzmiał: "Polskie wojska - Brygada Karpacka - defiluje przed ministrem Edenem.

Na sali zerwała się burza oklasków. Dyrekcja kina trzykrotnie przerywała film, trzykrotnie wyświetlając napis ostrzegający. Nic nie pomogło. Serbowie bili brawo i wócali: "Niech żyje Polska".

Frekwencja w kinie wzrosła niepomniernie. I codziennie odbywały się demonstracje na rzecz Polski.

Poseł niemiecki znowu wystąpił z interwencją i dyrekcja kina zmuszona została do zdjęcia z programu wojennego dziennika angielskiego.

Niemcy najwidoczniej intuicyjnie odczuwali, co ich czeka w przyszłości od Brygady Karpackiej...

Brygada Karpacka była dla nich niepokojąca i straszna na filmie. W przyszłości okazało się, iż była straszniejsza pod Tobrukiem i Gazalą, pod Monte Cassino, Piedimonte i Anconą.

(old)

Z Cypru do Latrunu.

Z pierwszą wizytą w m.p. Brygady.

Przebywając w roku 1940, jako "goście Króla Jęgomości" na Cyprze, z daleka śledziliśmy losy Karpackiej Brygady, która - po upadku Francji - przeszła z Syrii do Palestyny i tam szkoliła się intensywnie, uzupełniając swe kadry. Od chwili opuszczenia Kraju w roku 1939 nie widzieliśmy polskich orzełków i sama myśl o tym, że tak niedaleko od nas na Ziemi Świętej istnieją nasze, polskie oddziały, napawała nas otuchą i wzruszeniem.

Gdy po wzięciu Krety, wobec coraz częstszych nalotów i spodziewanego w każdej chwili na Cyprze desantu niemieckiego, władze angielskie postanowiły ewakuować "drogocennych" polskich gości, siedliśmy w Famaguście na skonfiskowany włoski statek wycieczkowy linii "Adriatica" z emocją, jaką daje każda podróż w "nieznane". Nikt z nas nie miał pojęcia dokąd nas wiozą. Polecono nam przygotować się na dłuższą podróż i zaopatrzyć w zapasy żywności na 48 godzin. Cel podróży stanowił na statku niewyczerpany temat rozmów i domysłów. Wspominano o Afryce Południowej, o Kenii a nawet dalekiej wyspie Mauritius - toteż jakież było nasze zdziwienie i radość, gdy po kilku godzinach podróży oficjalnie poinformowano nas, że jedziemy "na razie" do Palestyny.

Przyjazd odbył się raczej "hucznie" - gdyż w momencie gdy zbliżaliśmy się do wybrzeży Palestyny, pod czułą eskortą zwinnego, srebrnego w porannym słońcu kontrtorpedowca, Niemcy dla uczczenia tego historycznego momentu urządzili na port Haifski efektowny - choć niezbyt efektywny - nalot, który przeczekać musieliśmy, dla pewności oddaliliśmy się na czas tego występu na pełne morze.

Ale tajemniczość naszej podróży nie rozwiązała się z chwilą zakotwiczenia naszego statku w Haifie. Wysiadać nam nie pozwolono, rozeszły się pogłoski, że cały dzień i noc najbliższą spędzimy na okręcie, jako że po prostu nie bardzo wiadomo naszym opiekunom co z nami na lądzie zrobić i gdzie nas ulokować. Ale już wczesnym popołudniem przybyła wieść, że problem został rozwiązany dzięki uprzejmości dowódcy Ośrodka Zapasowego Brygady, który zgodził się nas, "zamazanych cywilów" w znacznym procencie płci żeńskiej, ugościć na razie na terenie ówczesnego m.p. w Latrun i sąsiednim Emaus.

Przybyliśmy do tego upragnionego celu dość późnym wieczorem. Pierwszym "Brygadowcem", którego ujrzałam w nikłym świetle elektrycznej lampki, był mój rodzony mąż, piastujący z dumą wysoką szarżę strzelca z cenzusem, ale z mizerną kategorią "D". Z żalem dowiedzieliśmy się na miejscu, że znaczna część Brygady, jej najbardziej bojowe oddziały, odeszły już do akcji na teren Egiptu. Ale nie byliśmy zepsuci. Widok polskiej flagi, powiewającej nad obozem i błysk srebrnych orzełków na zawadiacko na bakier przechylonych furazerkach olśniewał nas dostatecznie.

Z punktu dostaliśmy się w karby dyscypliny wojskowej. "Baby" z dziećmi oraz Melchiora Wankowicza (autentyczne!) ulokowano w Emaus, częściowo w klasztorze, częściowo w namiotach - mężczyźni na terenie samego obozu w Latrun. Zaroił się "małpi gaj" cywilnymi postaciami. Łazikowało to bractwo po okolicy, zaglądając do piwniczki Trapistów Latruńskich, myszkując po obozie i gorach. Słuchało nabożnie żołnierskich opowiadań, tłoczyło się w kantinach po piwo i chłodzące napoje, podziwiała powtórzoną na naszą

część w sali obozowego kina doskonałą rewię Latruńską Hemara, jedynym słowem używano się co się zwie. Trochę tam nasz komendant kpt. R. miał kłopotu z babami i dziećmi, ale dawał sobie radę i potrafił to dziwne wojsko utrzymać w ryzach, nie tracąc ani na chwilę cierpliwości i uśmiechu. Wspominam go tym serdeczniej, że przy "inspekcji" naszego namiotu pochwalił nas, że jest to namiot, w którym panuje największy porządek i który ani razu na nic się nie skarżył, ani nie narzekał. A narzekać doprawdy nie było na co. Karmiono nas świetnie i na każdym kroku okazywano nam serdeczną gościnność i uprzejmość.

Trzeba się było obozowi odwdziaczyć. Uczyniły to "Cyprysy", ofiarując Ośrodkowi Zapasowemu spory kontyngent wojaków. Pożał się Boże, co to byli za wojacy! Wybierać nie było z czego, bo co młodsi i sprawnijsi fizycznie dawno już machali karabinami w szeregach Brygady, ale dobra wola była i "leśne dziadki cypryjskie" nadrobili ochotą i charakterem siwizną czupryn czy wątkość mięśni. Dużo było przy tym poborze uciechy. Dowództwo obozu otrzymało bardzo ogólnikowy spis cypryjskich przybyszów - po prostu suchą listę nazwisk. Wynikały więc z tego różne nieporozumienia. Dostała np. wezwanie do stawienia się przed komisją wojskową kochana, miła "Babcia Zuberbier", zasłużona na Cyprze ćierowaniem skarpetek i bielizny wszystkim niemal samotnych panów, w naszym hotelu zamieszkałych. Na imię jej było Władysława. Końcówce "a" na liście gdzieś się zapodziało, i przyszło wezwanie do pana Władysława Zuberbiera, co wprawiło Babcie w poważne zakłopotanie. "Cyprysy" zasilili zresztą nie tylko Ośrodek, przyczyniły się również wydatnie do zwiększenia szeregów Legii Oficerskiej, dając jej nawet dowódcę, pułkownika E.

Niestety krótko trwała ta Latruńska idylla, która pozwoliła nam, cywilom, tak blisko zetknąć się z naszym wojskiem i dzielić z nim m.p. i obozowe warunki życia. Po czterech dniach, po przesianiu mężczyzn przez wojskowe sito i ulegalizowaniu naszego w Palestynie pobytu, wyrzucono nas z Latrun sromotnie. Rozjechaliśmy się do Tel-Awivu i Jerozolimy pełni wdzięczności dla wojska, które nas tam tak gościnnie i serdecznie przyjęło, pełni miłych wspomnień z tych krótkich dni gościny u Karpackiej Brygady.

Odtąd ile razy przejeżdżam przez Latrun, ze wzruszeniem patrzę na ów anemiczny laszek, na słynny grobowiec Szeika, który w czasie ćwiczeń swego rekruckiego okresu, tylekroć walecznie zdobywał mój mąż, na arabską kawiarenkę przy szosie i na te puste, słońcem spalone wzgórza, na których nasza Karpacka Brygada, z przybyłego z Syrii niemowlęcia, przekształciła się w wspaniałą, świetnie uzbrojoną i wyszkoloną, bitną jednostkę bojową.

Ewa Mieroszewska.

JANUSZ JASIENCZYK.

DWANASĆIE GODZIN.

(fragment z opracowywanej do druku książki "PO NARVIKU  
BYŁ TOBRUK", przeznaczony specjalnie do niniejszej  
"Jednodniówki")

Deszcz siąpie beznadziejnie. Właściwie nie siąpie; siąpać może tylko nasz wczesnojesienny "kapuśniaczek" - libijska ziemia nie zna bolesnej rozkoszy polskiego deszczu. To chyba tysiące olbrzymich, zawieszonych w chmurach flitownic, rozpyła zimny, drobnekroplisty, dziś wcale nam niepotrzebny tusz. Nie dość, że ciężkie chmury zasnuły niebo i zgasiły lampę księżycą, stwarzając ponury black-out nieprzejrzanego mroku - jeszcze ten bezszelestny opar:deszczu, wdzierający się pod peleryny, obmacujący ciało budzącym dreszcz dotknięciem wilgotnej kapy i, co gorsza, czyniący z okularów matowe, bezużyteczne szkiełka.

Przecieram je co chwila fasowaną chustką khaki, ale niewiele to pomaga: w parę sekund moje 5-ciodioptryowe oczy zachodzą znowu matowym bielmem deszczu. Przede mną noc - nie widzę nic, absolutnie nic.

To trochę denerwuje. Nie jesteśmy przecież na balu maskowym w Sylwestra, gdzie utartym zwyczajem gaszą nagle światła i wzrok uderza w czarną ścianę mroku, pełnego przyspieszonych oddechów nagle wytraconych z tanecznego rytmu par, zapachu perfum i cichych odgłosów kradzionych pocałunków.

Przed nami - o sto metrów - są pozycje włoskie. Nie widzimy ich, ale wiemy, że tam, za tym waziut kim wężozem są Włosi. Wiemy, że i oni wypatrują oczy w ciemnościach, a może w tej chwili posuwają się cicho naprzód, aby nagle obrzucić nas granatami, zaskoczyć ogromną przewagą liczebną i zlikwidować tę wysuniętą naprzód placówkę obrony twierdzy. Pamiętamy, że raz udało im się taka sztuka z nieostrożnymi Australijczykami: wzięli do niewoli pół sekcji.

Wprawdzie po tym przykrym wypadku wzmocniono nieco zaporę z drutów kolczastych, otaczających placówkę, dodając jeszcze jeden zwój koncertyny i rozciągając potykacze z grzechotkami z puszek po konserwach, ale przecież te przeszkody można łatwo usunąć miną, zwłaszcza w tak ciemną noc, gdy nie widać ani śladu naszej drucianej ochrony.

Oczy bolą od wdątrywania się w wilgotny całun nocy, co sprzymierzywszy się z deszczem, nie chce zdradzić tajemnicy walczących ze sobą ludzi; nie wiemy, co robi nieprzyjaciel - on nie może przeniknąć naszych zamiarów.

Trzecia godzina służby. Przyszliśmy tu nieco po szóstej, aby o zmroku zluzować we trzech dzienną, dwuosobową zmianę. Kapral Szumański klął, żeśmy się spóźnili. Był nieco speszony, bo pierwszy raz wysłano go na dzienną obserwację, nie uprzedzając, że bywa tu gorąco. Wprawdzie na całkiem uwierzyliśmy w jego barwne opowiadanie o orgii ognia maszynowego i mózdzierzy, którym obkładali ich rzekomo Włosi prawie bez przerwy, zmuszając do stałego krycia się za niewysokim, zawiniętym z dwóch stron murkiem kamiennym, stanowiącym jedyną ochronę od pocisków i odłamków. Jednak pewne znaki świadczyły o co najmniej siedemdziesięcioprocentowej ścisłości słów tego rasowego błagiera - oto on - miłośnik wszelkiego jedła, hurtowy niszczyciel beffi, kompotów,

sucharów i konserw - zostawił pomiędzy przewalającymi się tu wszędzie granatami chyba połowę swojej dziennej porcji jedzenia. Widocznie nie mieli czasu na pożywienie; musiało być jednak dość ciepło.

Ale teraz jest cisza. W nocy milkną zwykle Bredy i Fiaty i tylko nastawiane za dnia na określone punkty, moździerz macają od czasu do czasu poszczególne odcinki naszego terenu, jak grający w ciuciubabkę dzieciak, gdy rzuca się na prawo i lewo, aby uchwycić kogokolwiek z towarzyszy zabawy.

Beznadziejna walka z odbierającym zdolność widzenia deszczem doprowadza mnie do wściekłości. Przysuwam się do klęczącego o trzy kroki ode mnie i obserwującego zza murka przedpole w kierunku morza Mariankiewicza. Nachylam mu się do ucha.

- Kaziu, nic nie widzę, woda zalewa mi okulary. Może obudzić Florka, a ja posiedzę za niego, gdy deszcz ustanie.

- Frajerze - szepcze Mariankiewicz - zdejść w ogóle okulary, i tak nic nie widać. Słuchaj! Wystarczy, gdy ich uszyszymy. Ty rzucaj zaraz angielskie granaty, a ja będę walił z Brenna.

Prosta i zbawienna rada. Nie pracować wzrokiem, lecz słuchem. Klękam z powrotem na swoim miejscu - pozycja klęcząca jest niewygodna, ale konieczna, bo w ten sposób z żatwością można w razie czego schronić ledwie wystającą z nad murka głowę, a poza tym wrzynające się w kolana kamienie nie pozwalają zasnąć. Zdejmuję okulary, wyłączam zmysł wzroku - nastawiam uszy. Na nich mogę polegać: natura obdarzyła mnie dobrym słuchem. W tej chwili zdolność chwytania dźwięków wzmożona jest skoncentrowaniem uwagi na niewielkim obszarze i pewną emocją.

Bo jednak nieprzyjemnie było by, gdyby nas tu pozabijali, gdybyśmy dopuścili do zaskoczenia i nie spełnili naszego zadania ubezpieczenia odcinka kompanii. A wszystko zależy od czterech bębneków w uszach Mariankiewicza i moich, bo Florek śpi smacznie, nakryty kocem i gumową peleryną: na niego wypadły pierwsze godziny wycoczynku.

Służba na tej placówce trwa dwanaście godzin - od zmroku do przedświt. Długie dwanaście godzin. Wprowadzie samej obserwacji wypada na każdego po osiem godzin, bo tylko dwóch musi czuwać, ale te cztery godziny odprężenia nie zawsze jest wycoczynkiem. Nie każdy może spać na zawołanie, jak Florek, a zresztą, jeśli się ma pecha, to w czasie drzemki nadchodzi patrol kontrolny, albo właśnie zaczynają strzelać.

Deszcz nie ustaje. Cicho spływają drobniutkie krople wody i bezszelestnie wsiąkają w kamienistą, pełną spragnionych wilgoci szczelin, pustynię. Nic nie słychać, nikt się nie zbliża. Na lewo - w skos, może jakie 300 metrów od nas odezwał się pojedynczy wystrzał karabinowy. To włoska służba strzela regularnie co godzinę. Znamy już ich zwyczaje: to strzały obowiązkowe, służące do sprawdzenia czujności żołnierzy.

Czuję się bardzo zmęczony. Kolana boją, w uszach zaczyna dzwonić. Proszę Kazia, aby przez chwilę uważał na całe przedpole, a sam kładę się na ziemi, nakrywam peleryną "pedeszcz" i zapalam zapalniczkę, aby sprawdzić czas. Jest godzina pięć po dziewiątej. Można budzić Florka - teraz na mnie kolej wycoczynku.

Florek natychmiast zajmuje swoje stanowisko, sprawdza, czy granaty leżą wygodnie pod ręką, wsiąka w murek naszej pozycji - staje się częścią systemu obronnego Tobruku, którą ja na dwie godziny będę przestaje.

Z rozkoszą zapalam pod peleryną papierosa i ciągnę wonny dym "Cravena". Kazio syka - on zawsze mi wymyśla, że nieostrożnie palę papierosy: jest nieco przesadny. Przecież, gdybym nawet wysunął się trochę spod peleryny, to murek kryje nikkę świeciakko żarzącego się tytoniu.

Okrywam się kocem, naciągam go na głowę i siadam możliwie najwygodniej w zakamaniu sangaru. Przyjemnie jest być strzeżonym przez dwóch wiernych przyjaciół, na których można liczyć. Rozkosznie jest czuć się kółkiem, które zwolniono na chwilę z mozolnych, monotonnych obrotów, odkładając na bok, aby odpoczęły stalowe zęby, zwiżone zbawczą oliwą odprężenia.

Dziś mieliśmy fantastyczne szczęście. Gdy mijaliśmy wąwóz, oddzielający pozycje naszej kompanii od tej, wysuniętej na dwa kilometry naprzód, placówki, kapral Tomaszewski zatrzymał drużynę na dnie kotliny, za wrzynającym się w nią głęboko drugim językiem morskiej zatoki.

Odpoczywaliśmy może z kwa drans, bo marsz pod górę z naszych jaskiń, położonych na stoku następnego wąwozu, a potem w dół po stromym zboczu niczyjego jaru-przedpola, był ciężki i męczący. Wszyscy porazkądali się wygodnie na piasku plaży. Nagle kapral zarządził dalszy marsz - wdrapywanie się pod górę po spadzistej, piaszczystej wydmie.

Wszyscy byli wściekli. Kułak kłął na głos, ale ruszyliśmy zaraz, z trudem wyciągając nogi z miakkiego piachu. I to nas uratowało.

Zaledwie opuściliśmy wyciśnięte na plaży ślady naszych postaci, gdy niespodziewanie gruchnęła na to miejsce seria moździerzowych pocisków. Ozwały się gdzieś przed nami ciche, melodyjne odgłosy odpalenia: pam - pam - pam, potem charakterystyczny warkot przeszył powietrze i tuż za nami nastąpiły detonacje: pah - pe - pah, pah - pe - pah.

Była to długa seria - około dwudziestu wystrzałów.

Bez komendy rzuciliśmy się naprzód, padając co chwila i drapiąc się na czworakach pod stromą górę. Włosi skrócili ogień - musieli nas spostrzec przez lornetkę przed pół godziną, gdy mijaliśmy widoczny od nich horyzont ponad naszymi pozycjami; obliczyli czas i waliili na całego, licząc się z tym, że już minęliśmy dno wąwozu i zmierzamy w kierunku placówki.

Serie wybuchów posuwały się za nami, ale na szczęście nie dokładnie po linii naszego marszu - bardziej na lewo. Odłamki długiego kalibru pocisków furczały koło uszu, ale już słabe, zmęczone nadmiernym wysiłkiem dalekiego lotu.

Trwało to z dziesięć minut, może krócej. Przez chwilę pomyślałem, że Włosi zdobyli placówkę, a teraz, gdy wyleziemy na szczyt zbocza, przyjmą nas ogniem maszynowym. Zwierzyłem się z tym kapralowi.

Gdy ogień z moździerzy ustał, ostrożnie posuwaliśmy się naprzód, a że nie było jeszcze zupełnie ciemno, już z daleka zobaczyliśmy bielejące murki Took III i IV. Nikt nie był ranny, placówki czekały niecierpliwie na zmianę. Wkrótce kapral Szumański, rozpytawszy o naszą przygodę, zaczął opowiadać o swoim gorącym dniu.

Tak się zaczęła moja, trzecią z kolei nocna służba na tej, najbliższej od morza placówce odcinka zachodniego. Już nam trochę zalaży za skórę te nieprzespane, pełne napięcia noce. Wprawdzie cały dzień można spać - od szóstej rano do szóstej wieczorem jest czas wolny. Ale to teoria. Trzeba przecież umyc się,

zjeść śniadanie, obiad, kolację; sen jest przerywany, ciężki, nieraz wprost niemożliwy z powodu panującego w dzień upału. A zresztą kusi wąwóz. Ten wąwóz, na którego zboczu, w naturalnych pieczarach, uszczelnionych tu i ówdzie celtami, gnieździ się nasz odwodowy, a więc przeznaczony do najcięższej, nocnej służby, pluton - jest przecież zielony!

Po trzech miesiącach kreciego życia w piaszczystych norach, otoczonych beznadziejną, bezdrzewną, jednobarwną, pozbawioną - jeśli nie liczyć rzadkich, suchych burzanów - roślinności pustynią, ten, pełen zielonych krzaków, traw, a nawet kwiatów, nadmorski wąwóz jest dla nas najwyższą rozkoszą - wprost rajem.

Na dnie wąwozu, doskonale widoczna z naszych jaskółczych gniazd - jaskiń, wabi nas studnia, prawdziwa studnia ze słodką wodą. Nie wolno jej wprowadzić pić z obawy przed epidemią, ale można w niej prać bieliznę i myć się i oblewać, pluskać się do woli. Wśród krzewów i bagien, utworzonych przez długie palce wsuwającego się w wąwozy morza, żerują kaczk!

To są zbyt wielkie pokusy, aby można było spać spokojnie. Toteż dzień w dzień, po paru godzinach kamiennego snu, małymi grupkami odbywamy polowania i spacer. Kułak nie rozstaje się z tomiganem, z którego wali długie, lecz bezskuteczne serie do zrywających się daleko ptaków; ja noszę się stale z karabinkiem włoskim - ze swego nie warto strzelać, bo potem trzeba by czyścić -, a Mariankiewicz, obciążony granatami wyrusza na ryby.

Zabawne to zajęcie. Odbezpiecza się granat angielski i rzuca do wody tam, gdzie jest dosyć głęboka. Po siedmiu sekundach słychać cichy plusk - niewielka fontanna wody wytryska na powierzchnię, a wkrótce pojawiają się na niej srebrne brzuszki ogłuszonych ryb. Pływają bezwładnie po wodzie, jak popsute dziecinne zabawki. Teraz Kazio zaczyna namawiać Florka, albo mnie, aby skoczyć do morza i powybierać zdobycz. Ale nie ma głupich. Brzeg tu jest skalisty, fala silna i woda zimna. Dlatego "Marianek" wraca przeważnie z pustymi rękami do naszej wspaniałej jaskini "Trzech Muszkieterów". Mieszkamy tam z nim i z Florkiem, a każdy z nas ma oddzielną dziurę do wczorziwania się. Kazio urządził sobie posłanie na swych "nieśmiertelnych" drzwiach, Florek i ja na deskach, izolujących koce od wilgotnego piasku.

Teraz kulę się z zimna w kącie sangaru i myślę o tej jaskini, jak o pałacu z bajki.

Dwanaście godzin... Minęły już trzy - pozostaje dziewięć. Teraz mam dwie, nie - może już tylko półtorej godziny wypoczynku. Staram się zasnąć. Głowa mi ciąży, w głowie czuję szum, opieram głowę na gładkim kamieniu. Potrzebny, ale kłopotliwy organ ta głowa. W głowie są oczy, na oczach powieki, które się kleją, zalepiają gałkę, zwalniają, odprężają przemęczoną, rozszerzoną przebytych wysiłkiem źrenicę: niech odpoczywa w swym futerale.

Głowa, głowa... Nie mam już głowy prawdziwej, złożonej z krwi i mięsa, unerwionej, wypełnionej szarą substancją, oplecionej siatką żył i opatrzonej dwiema lampami oczu. Straciłem ją widocznie na wojnie. Ale dali dobrą protezę: z szyi wystaje mocny kijek, a na nim umocowana jest dobra, solidna, drewniana głowa. Chodzę dumny po ulicach jakiegoś nieznanego miasta i chwalebę się swoją sztuczną głową. Poruszam kijkiem, podnoszę i opuszczam głowę, obracam ją, pozwalam oglądać znajomym. "Widzicie, jaką ładną głowę dali mi w szpitalu? Gratis, zupełnie gratis. Jest mocna, nie stłucze się, a gdyby urwał ją nawet granat, to dostaną drugą. Mają duży zapas drewnianych głów w Brygadzie". Znajomi nie dziwią się zbyt; widocznie wiedzą już o tym wynalazku.



Ktoś trąca mnie lekko. Otwieram oczy, tkwiące w prawdziwej, banalnej głowie z nosem i uszami, ubranej w kominiarke z ciepłej, wełnianej włóczki. Hełm stalowy zsunął się ze skroni i leży obok. Florek wyrwał mnie ze snu, bo posłyszał szelest. Z tyłu od strony naszych pozycji: pewnie patrol.

Tak - to podchorąży Błaszyk z Arturem. Pytają, co słyszać.

Na szczęście nic nie słyszać - cztery godziny służby minęły bez przygód.

Podchorąży wżazi pod koc, wypala papierosa i odchodzą.

Idę za nimi. Siadamy do jakiegoś pociągu. Piękny, wygodny przedział pierwszej klasy. Rozkładam się wygodnie, po prostu tonę w miękkich poduszkach. Koła pociągu stukają miarowo, śpiewając swą monotonna melodię imion, wspomnień, obrazów. Przy mnie siedzi jakaś młoda Pani. Twarz znajoma, suknia powłóczysta, biała, bardzo przewiewna. Wyraźnie rysują się pod nią cudowne, kobiece kształty. Przecież to...

Mój brat - skąd się tu znalazł, wszak on od dawna nie żyje - mówi, że trzeba wysiadać, bo inaczej spóźnimy się na nabożeństwo. Jesteśmy w Warszawie, na Nowym Świecie. Spotykam Andrzeja, Władka, Jerzego - na rogu stoi dwóch czarnych gestapowców w wysokich, sztywnych czapkach. Mijamy ich szczęśliwie, choć patrzą na nas wiercącym wzrokiem te opasłe, okrutne mordy.

Andrzej wręcza mi Visa i nieszną bombę: jest podobna do angielskiego granatu, ale cała z plasteliny, czy też innego lepszego materiału; można ją przyklepić do ściany i odbezpieczyć, a potem spokojnie odejść na bezpieczną odległość. Jerzy bardzo chwali ten wynalazek. Mamy wykonać jakiś zamach. Mży deszcz, przechodzimy przez jakieś kałuże. W końcu rzucam bombę...

Pah - pe pah ----- tjuuuu....tjuuu...tjuuuu...

- Janusz, zadzwoń do Starego, żeby uspokoił s..synów - słyszę szept Mariankiewicza, który targa mnie za rękaw munduru. Odłamki świergocą, jak głupie: tjuuu, tjuu, tjuuu...

Chwytam słuchawkę telefonu. Zgłasza się natychmiast służbowy.

- Tu Took IV, - mówię cicho, wyraźnie. - Obłożyli nas moździerzami. Powiedz Staremu, żeby ich uspokoił.

- Robi się - odpowiada Kubryk, bo to on przyjął telefon.

Czekamy w napięciu. Ogień jest silny, ale niezbyt celny. Najbliższe pociski padają o 15-20 metrów, przeważnie z przodu. Od tych chroni nas murek. Gorzej z tymi idącymi na tyły: od strony naszych pozycji nie mamy żadnej ochrony. Chwała Bogu, te padają dalej.

Mija jedna minuta, druga, - czort wie, ile minut, przecież nikt nie patrzy na zegarek. Nagle za nami, na południo-wschód, odzywa się znajomy dźwięk naszych moździerzy: plum - pulum, a potem przed nami głośniejsze znacznie wybuchy. Dużo ich, dużo. Stary uruchomił chyba ze dwa działony.

Widocznie dobrze wyrzucili swoje szczeniaki na ogień nocny, bo każo nas przestają bzykać wąskie odłamki i błyskać krótkie ognie rozrywających się pocisków. Makaroniarze już przestali, ale nasi grzeją ciągle. Rozpoczęliście rozmowę - to posłuchajcie odpowiedzi. Polacy lubią się wygadać - to naród mowny.

- Uspokoił ich - mruczy Mariankiewicz, wciągając pod koc.

Domyślam się, że chce sprawdzić, czy nie powinienem już objąć służby.

Niestety, tak, - już minęły dwie godziny "odpoczynku".

Kłękam na miejscu Kazia, a on rzuca się na papierosa, aby potem przyłożyć się w dołku: nie umie spać na siedząco.

Deszcz ustał, chmury się przecierają, błyska słabe światło księżycy. Włożyłem okulary. Doskonale widzę koncertinę i przedpo-  
le. Niepokoi mnie trochę fakt, że od tej strony, zaraz za zasiekami teren się opuszcza w kierunku morza. Gdyby obeszli nas w tym miejscu, to wyżonią się nagle, jak duchy. Sciskam kolbę erkaemu, sprawdzam, czy magazynek siedzi mocno na swoim miejscu.

Florek trąca mnie i pokazuje coś palcem. Na wprost przed nami, o jakie sto metrów, wyraźnie widać małe światełko. To Włoch pali papierosa. Oni wiedzą, że my nie będziemy strzelać, bo cały dowcip polega na tym, żeby nigdy nie byli pewni, czy placówka jest obsadzona.

Wloką się minuty, jak krople wody, ciekącej z zepsutego kranu. Jak wiele ich trzeba, aby stworzyły kwadrans, pół godziny, godzinę... Godzinę wyteżonej, niemal bolesnej uwagi, gdy oczy zachodzą rzami od wysiłku, a powieki zdają się zmieniać swój ciężar gatunkowy i z lekkiej, prawie nieodczuwalnej, skórki przeradzają się w drewniane kłapy, opadające bezwładnie na dół, aby stać się w końcu dwoma kawałkami nieznośnie ciężącego ołowiu.

Dwanaście godzin służby. Trzy godziny słucałem, dwie "odpoczywałem" - zostaje jeszcze siedem, może sześć i pół, może tylko sześć. A potem będzie herbata z rumem, przytulna jaskinia, ciepłe koce, spacer, kąpiel w morzu.

Ale teraz nie wolno o tym myśleć. Trzeba uważać, wytrzeszczać oczy.

"Wytrzeszczać!" Zawsze śmiesznym wydawało mi się to wyrażenie: nigdy dotychczas nie wytrzeszczałem oczu. Uczę się tego w Tobruku.

Uczy się i Florek. Ale on klęczy znacznie spokojniej, zupełnie nieruchomo - chwilami zdaje mi się, że zasnął i na wszelki wypadek lustruję jego odcinek obserwacji. Ale nie, on nie śpi: teraz kiwnął na mnie, abym go na moment zluzował, będzie palił papierosa. A jutro będzie mi znów wymyślał, że nie potrafię spokojnie usiedzieć na placówce, że się za bardzo kręcę. Co robić - ja nie cierpię defensywy - kocham ruch, działanie.

A tu się nic nie dzieje. Siedzimy w tym Tobruku i wzdychamy do ofensywy. Można się wściec od tych patroli, służb, placówek, kożomyjek, wygrywanych na cekaemach, oglądania Włochów przez lornetkę. Od tego beefu we wszystkich odmianach i na wszystkie sposoby: z cebulką i bez cebulki, z konserwowym kartoflami i bez kartofli. Bo wszystko to odbywa się na miejscu, w ciasnym kręgu kompanii, plutonu, drużyny. Ciągłe te same twarze, ten sam "krajobraz", te same zadania. Na miłość boską, zabierzcie nas stąd do Alex, albo zróbcie już raz tę ofensywę!

Sączą się minuty, kwadransy, może jest ich już cztery, może już odwalona godzina. Spoglądam na zegarek - światło księżycy pozwala dojrzeć wskazówki. Co za radość: już kwadrans po dwunastej - jeszcze tylko 45 minut tego wybażuszania oczu - potem znów dwie godziny drzemki; tym razem chyba bez wizyty patrolu kontrolnego i może bez emocji pirotechnicznych.

- Staram się klęczeć nieruchomo. Teraz jest dosyć jasno: istotnie moglibyśmy dojrzeć jakiś zbyt szybki ruch. Podparłem głowę ręką i tylko poruszam gałkami ocznymi. Taka prosta czynność: patrzeć, jak kura w gnat na te kilkaset, czy parę tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, a jednak i tu nasuwają się trudności.

Mniejsza już, że każde oko chce się zamknąć - górne i dolne powieki dążą najwyraźniej do przyjaznego zbliżenia. Ale jak lepiej obserwować teren: czy tylko określony pas horyzontalny, gdzie może pojawić się nieprzyjaciel, czy raczej przesuwając wzrok po wycinkach półkola: od naszej pozycji do horyzontu, a zarazem z lewej do prawej i z powrotem.

Ten system wydaje mi się szlachetniejszy: gdybym przepuścił kogoś, kto przemknie się od strony morza w momencie, gdy patrzę w lewo, to muszę go zobaczyć poniżej horyzontu, kiedy skieruję wzrok na prawy odcinek półkola. Decyduję się na ten sposób i, nie ruszając głowy, wprawiam gałki oczne w skomplikowany, dwufazowy ruch: do góry i na dół, a zarazem na prawo i potem na lewo. Okazuje się jednak, że okulary dają mi tylko ograniczone pole widzenia: muszę jednak lekko kręcić szyją.

Dwanaście godzin. Nie podobna ich skrócić - trzeba je przeżyć: osiem w pełni napięcia, a zarazem w bezruchu - bez akcji, bez działania, cztery w znużonym zamroczeniu rzekomego wypoczynku. Jak to dobrze, że czas się nie zatrzymuje, że działają zegarki, że duża wskazówka zatacza duże kręgi, przeskakuje podziałki minutowe i pociąga za sobą poważną, stateczną wskazówkę godzin. One się nie spieszą, ale i nie zwlekają; obojętne na ludzkie życzenia, zimno, beznamiętnie odmierzają dni pracy, godziny nerwowego wysiłku, walki, cierpienia, minuty rozkoszy, sekundy natchnień i wzlętów. Okrutne i dobroczynne zarazem. Można liczyć, że się nie spóźnią, że oznaczają kres każdej ludzkiej czynności - jak dojdzie do celu, precyzyjnie wymierzony, zdobywca i niewolnik przestrzeni, pocisk artyleryjski.

Posuwają się wolno wskazówki zegarka. Jeszcze czterdzieści minut, jeszcze pół godziny, jeszcze kwaśne drąs. Oczy biegają: w dół, do góry - w lewo i w prawo, pomaga im szyja. Mózg przestaje prawie działać - wyłączono większość ośrodków, zmieniono całą szarą substancję w kliszę fotograficzną, która natychmiast, precyzyjnie, bez zawodu, ma przyjąć na siebie skurczoną, skradającą się postać wroga. Wówczas ręka automatycznie silniej obejmie uchwyt kolby, palec naciśnie język spustowy i kule zaczną przesywać przestrzeń, dzieląc karabin od kogoś, kto chciałby pozbawić nas życia lub wolności.

Nie wolno pozwalać sobie na myślenie na wysuniętej placówce. Głowa staje się aparatem, siedliskiem oczu i uszu, protezą wojenną na dającym się obracać kijku.

Nie ma myśli, ale migają obrazy: jaskinia, zwój koców, jaskiek bez poszewki, przywieziony z Budapesztu, herbata z rumem. Potem łożko, biała pościel, tapczan - olbrzymi tapczan: mój tapczan z Warszawy, ciepłe puchowe kołdry. Jakaś twarz kobieca, ktoś podaje filiżankę kawy. I znowu jaskinia, papieros wonny dym.

Tak, trzeba zapalić papierosa. Podsuwam się do Florka. Trącam go i szepczę, żeby uważał za mnie. Zanim nasycę się dymem, minie pozostałe parę minut i obudzę Kazia.

Kazio jest trochę len i nygus. Ale na służbie każdy jest jednakowy: musi. Tu każda minuta opóźnienia w objęciu służby jest świństwem. My nie robimy świństw, bo inni robiliby nam to

samo. Kazio od razu ze snu wskakuje w rzeczywistość. Ale woli pa-  
trzeć na rejon Florka. Zmieniają stanowiska: klękają - Florek na  
prawo, Mariankiewicz na lewo i gapią się.

Ja w środku, upojony rozkosznym dymem, złożony w scyzoryk, z  
głową przy kolanach, pozwalam się zamknąć powiekom. Chce mi się  
trochę pić, ale nie warto wstawać i po omacku szukać manierki;  
ociężałość przygważdża człowieka do ziemi.

Zresztą po co? Przede mną jest piękny basen, pełen czystej,  
kryształowej wody. Błękitne tafelki ułożonej na dnie w mozaikę  
terrakoty, przecięte kilkoma podłużnymi, ciemniejszymi pasami,  
poruszają się miarowo w rytm łagodnej fali, wywołanej ruchami  
prującej wodę pływaczki. Zaraz skoczę do tego basenu, muszę tylko  
wrócić na chwilkę do kabiny, bo zapomniałem kostiumu - jestem zu-  
pełnie nagi.

Po stromych schodkach wchodzę w górę - dziwacznie budują te  
luksusowe okręty: wejście do kajuty ciasne, trzeba schylać głowę,  
aby nie wyrznąć nią o wystające belki.

Jak pięknie w tej kajucie! Co za luksusowe łożo - to chyba  
Ludwik XIV. Koronkowa pościel, dużo wspaniałych poduszek, na nich  
rozpuśtna w swej elegancji, jedwabna pyjama. Jakiś Sudańczyk w  
szamerowanym złotem, czerwonym burnusie, mówi do mnie najczystszą  
polszczyzną: "Jeśli Pan Mecenasa chce pisać artykuł, to proszę iść  
do Żółka". Widzę, że ten Hindus ma na głowie angielską czapkę z  
wielkim pawim piórem. Odpowiadam mu po angielsku: "No, I want  
whisky and soda, because I will go to the church".

Rozsuwa się kotara: na ziemi leży fortepian bez nóg. Jakiś  
jegomość - wiem, że to fryzjer-wirtuoz - dmucha na klawisze, wyg-  
rywając namiętną melodię tanga. Oczywiście; to najlepszy sposób  
grania na fortepianie - oszczędza się palców i wyrabia płuca.

Teraz jest znów ciemno. Wychylam głowę spod koca. Na lewo  
majaczy nieruchoma postać Kazia, na prawo Florek wpatruje się w  
przedpole. Ledwo ich widać, jako czarne sylwetki na tle nieco ja-  
śniejszego murka. Księżyc przepada gdzieś za chmurami, jest zimno,  
nogi mi ścierpły, prawy łokieć dokucza: wsunął się pomiędzy dwa  
ostrzejsze kamienie. Przesuwam je ostrożnie na bok, zmieniam po-  
zycję, zamykam oczy.

Zasypiam i budzę się. Drzemię, ale czuję rzeczywistość:  
wiem, że to placówka, Libia, Tobruk, Florek, Kazio, granaty pod  
ręką. A jednocześnie przed oczami, raczej na dnie zrenicy przesu-  
wiają się jakieś wycinki niezbyt wyraźnego, bezbarwnego filmu: ok-  
ręt sunący pod żaglami, naboje powtykane w piasek, ruch jakiejś  
zakrwawionej nogi - to jest prawa noga w angielskich spodniach.  
Mnóstwo zegarków, kupują biały kapelusze panama, nożyczki ruszają  
się, przecinają biały papier, jakaś olbrzymia szpilka. Potem Zoś-  
ka - moja nianka - podaje mi tort, jakiś człowiek chwieje się i  
pada, nagły błysk zapalanej magnezji.

I znowu zegarki: kieszonkowe, na rękę, męskie, damskie, du-  
że, małe, małeńkie - do przypinania po lewej stronie na kostiu-  
mie - taki miała Marysia. W końcu olbrzymi zegar. Duża wskazówka  
wychyla się z cyferblatu, zapie mnie za rękę, trzęsie, szarpie -  
dziwaczna, żywa wskazówka.

- Wyłaź spod koca - syczy Mariankiewicz, - już trzecia.

No oczywiście: to Libia, placówka. Dwanaście godzin służby.

Nie - już tylko trzy. Ostatnie trzy godziny, najgorsze z

uwagi na lepkość powiek, ale pełne nadziei świtu.

Kłękam po lewej stronie; już dość tego morskiego rejonu. Znowu jest zupełnie ciemno. Nie pada, ale zerwał się silny i zimny wiatr od zachodu. Przewiewa pelerynę, płaszcz, sweter, battle-dressy i dwie wełniane koszule. Nie pomaga nawet włożona na płaszcz skóra. Wiatr dostaje się do piersi, włazi na brzuch, pełza po nogach - w butach zagnieździł się na stałe, wypełnił całe stopy milionem małych, kłujących szpilek.

Ciemno jak cholera. Nic nie widać. Okulary zbyt ciężkie: znowu trzeba pracować słuchem. Nastawiam uszy. Może by tak zdjąć okulary i zamknąć oczy; i tak są przecież niepotrzebne. Próbuje tej inowacji: głowa pochyla się mimo woli, czuję, że zaraz zasnę. A to byłaby ładna historia!

Więc jednak oczy - choć chwilowo bezużyteczne - muszą być otwarte. Coż, kiedy powieki są tak ciężkie: już nie drewniane zasówki, nawet nie kawałki ołowiu; chyba ta noc nalaża rtęci w naczynia krwionośne. Może by podeprzeć górne powieki kawałkami zapalek?

Na szczęście wskazówki zegara posuwają się naprzód. Zluzowałem Florka, wypalił papierosa, teraz ja napiłem się wody i włożyłem pod koc, aby raczyć się dymem. Znowu kłęczę na ostrych kamieniach, kręcę się, zmieniam pozycje - byle nie zasnąć, byle słyszeć, czuć, co dzieje się tam przed nami.

Ale i uszy zaczynają już trochę zawodzić: martwa cisza kładzie się na bębenki, oblepia je niebezpieczną warstwą jedwabnej izolacji.

Nagle przebija ją jakiś szelest na przedpolu, potem silniejszy dźwięk - to zadzwoniły grzechotki na potykaczu. Krótki dreszcz - jestem znów przytomny: w ręku mam granat, wyciągam odruchowo zawleczkę - ktoś idzie.

Znowu głośniejszy tupot kroków. Lokalizuję go w przestrzeni: pochodzi z prawej strony, z odcinka Florka. Nie widzę go prawie, ale czuję jego gotowość. Pomiedzy nami majaczy trzeci cień - to Florek musią trącić nogą Kazia.

Nagle błysk ognia i huk - Florek puścił dwie serie.

Odchylam się w tył, biorę zamach, rzucam granat i chowam się za murek. Parę sekund - silny wybuch, potem drugi; Kazio też zrobił swoje. Odłamki gwizdzą nad nami. Chwytam drugi granat i czekam. Florek wali dalsze, urywane serie, potem cichnie - zmienia magazyn.

Przed nami coś się kotłuje. Słychać tupot nóg, szamotanie się w drutach kolczastych - ktoś zaplątał się w zasieku, stara się wydostać.

Wtem w ciszę oczekiwania wpada nabrzmiały bólem ryk:

- YYY - aa....YYY -aa...

Nie możemy powstrzymać śmiechu. Śmiejemy się szeptem, długo, żywiołowo, niemal histerycznie. Mariankiewicz przypadł do ziemi - widocznie trzyma się za brzuch.

To był osioł. Biedny, bezpański osioł, jeden z licznej gromady wążsających się pomiędzy liniami włoskimi i polskimi. Zaplątał się między druty. Nam napędził strachu, a sam musią oberwać od kuli lub odłamka. Ryczy teraz przeciągle, zbolałym, niemal ludzkim głosem.

Z tymi osłami mamy tu sto pociech. Przed naszym przybyciem na odcinek zachodni całe ich stado ruszyło nocą w kierunku czeskich pozycji: spowodowały wybuch paru min i ściągnęły na siebie piekielny ogień wszystkich rodzajów broni. Była prawdziwa rzeźnia. Parę dni temu Florek skaptował sobie jednego kłapoucha i wozi nim wodę po gorzystych stokach. Często przyczepiamy do szyj osłów kartki ze złośliwymi napisami i pędzimy do Włochów. Oni odsyrają je do nas, nie szczędząc też epitetów.

Dziś znowu osioł sprzątał nam figla, choć z drugiej strony skrócił monotonną służbę. Z dwunastu godzin zrobiły się dwie, potem półtorej. Zanim Mariankiewicz przyszedł do siebie po paroksyzmie śmiechu i przypomniał sobie, że to jego godziny wypoczynku - już musiał zmienić Florka. Potem nadszedł z Took III kapral Tomaszewski, zaniepokojony otwartym przez nas ogniem. Uśmieł się z naszej osłej przygody i poszedł.

Już piąta. Robi się szaro, Wiatr przycichł nieco. Zaczyna świtać: na przedpolu majaczy półkole poskręcanych drutów, potem na lewo - w tył wyłania się z mroku biała plama sąsiedniej placówki - widać już poszczególne wielkie kamienie.

Dwanaście godzin dobiega końca.

Za chwilę przyjdzie zmiana, obejmie służbę dzienna, a trzy małe kółka wielkiej maszynierii obrony, zwolnione z trybow, potoczą się w dół do niczyjzego wąwozu, wdrapią się wolno na przeciwległe zbocze i, gdy słońce wychyli się z nad Tobruku, podlane herbatą z rumem, spoczną w jaskini "Trzech Miszkieterów".

Wspomnienia portowe - z Batalionu Wartowniczego

w Aleksandrii.

W ciemną noc stałem na warcie, na odcinku powszechnie przez nas nazywanym "Kreta". Służba w porcie wojennym nie należała do łatwych i lekkich obowiązków z powodu częstych i dość ciężkich bombardowań. Ale ta noc była bezksiężycowa i bardzo ciemna i można było powiedzieć, że panowały dosłownie "egipskie ciemności".

- Dziś "mama" na pewno nie będzie miała powodów do gniewu i nie będzie wypuszczająca ze swych kominów kłębow czarnego dymu - myślałem tak, chodząc po swoim odcinku. "Mama" nazywaliśmy olbrzymi statek reperacyjno-zaopatrzeniowy, który był w naszym sąsiedztwie - zakotwiczony na stałe w porcie.

Na pokładzie mamy znajdowały się olbrzymie działa p-łot, które w czasie akcji tak grzmiały, że aż dzwoniło w uszach.

"Tak ta noc będzie spokojna, będę mógł myślami przenieść się do mego dalekiego domu, do ogrodów i pól w Polsce! Spojrzałem na wyskrzzone gwiazdami niebo, by poszukać gwiazdy polarnej i od niej trochę w lewo na północ - "tam jest Polska! Boże, jakże bliska i zarazem daleka!" Chwilami zdawało się, że to tylko sen, z którego się obudzę i zobaczę siebie z powrotem w Polsce.....

Myśli moje biegły do wszystkich, dobrze znanych mi miejsc w Kraju, godziny uciekały, a ja nie mogłem oczu i myśli moich oderwać od wizji i wspomnień.

Zaczęło już szarzeć, a na horyzoncie, jakby z dna morskiego, wykaniały się coraz jaśniejsze i jaśniejsze blaski.

Do uszu mych doszedł warkot motorów aut ciężarowych, który stawał się z każdą chwilą głośniejszy i bliższy. Wtem spoza zakrętu wykonało się czoło kolumny i zbliżało się w moim kierunku. Była to Legia Oficerska odjeżdżająca do Tobruku. Kolumna zatrzymała się przede mną i zapytano mnie, gdzie jest molo Nr X:- tam właśnie mieli być zażądowani na kontrtorpedowce i za chwilę odpłynąć. Wskazałem im kierunek. Wśród odjeżdżających poznałem kilku moich kolegów biurowych z Polski, znajomych z mego miasta i szlaku naszej wędrówki...

Zamieniliśmy parę słów powitalnych i pożegnalnych zarazem: "Niech Bóg prowadzi, do widzenia - w Polsce".

"Boże, jakże ciężkim jest nasz los", myślałem. "Rodziny ich są tam w Kraju lub też wywiezione gdzieś przez zbirów na Syberię, czy do obozów koncentracyjnych, a ci tu jadą hen w pustynne piachy walczyć z najeźdźcą ich o wolność, o wolność Polski...!"

O brzasku odjechali na trzech kontrtorpedowcach. Był to wspaniały widok, jak te morskie potwory, zgrabne i szybkie wyruszały w drogę.

Do Tobruku jednak nie dojechali; zmuszeni byli powrócić, gdyż transport zbombardowano, a okręty zostały poważnie uszkodzone.

Uczestnicy podróży po powrocie opowiadali mi o tej przygodzie, podziwiając zimną krew i opanowanie brytyjskich marynarzy w czasie akcji. Nasi również zachowali się spokojnie i pomagali, jak mogli marynarzom!

Szczególną odwagę wykazał wtedy kapelan legii ksiądz P., który spokojem swoim przyprowadzał niektórych do równowagi i dodawał otuchy, za co po powrocie był specjalnie wyróżniony w rozkazie.

Dziś ci sami walczą gdzieś we Włoszech lub na terenie Niemiec.

Walczą, bo wierzą, że nie ma i być nie może żadnych linii Curzona, i że wywalczą wolność całej, zjednoczonej, niepodległej - Polsce.

Stan. Kowalski.



Dr. Ignacy Kleszczyński - były redaktor gazety polskiej  
w Jerozolimie - podczas wojny.

Szlakiem karpackim.

( impresje sentymentalne )

Pustynia ma w sobie coś z otchłani bezdennej i przepaścistej, która ciągnie ku sobie człowieka kreśląc swoim bezmiarem nieznaną, tajemniczą zagadkę, upija egzotyką, nęci i wabi - choć potem zabija. Koloryt jej pozornie szary, jednostajny, jak melodia pieśni arabskich, biały, brunatny aż po czerwień pustyni irackiej - mieni się chwilami całą tęczą odcieni i barw, gra w powietrzu i słońcu, jak modrość Adriatyku, seledyn Bosforu, czy stal Bałtyku. Taką barwną pustynią była dla nas Pustynia Zachodnia i Libijska. Była jakosć dobrotliwsza od żaru irackiego. Była naszą historią powstającą na Wschodzie, znowu w cieniu piramid jak tamta napoleońska, sułkowska lśniącą bogactwem kolorów strojów pasz i bogactwem umiłowania wolności. I znowu w refrenach historii polskiej w bezdrożach piasków wyrastały namioty, a w namiotach rosły oddziały tętniące karpackim sercem. Mex, Sidi Bishr, Al Amriya - pierwsze początki brygadowe na egipskich piaskach.

Wcisła to się w pamięć, kiedy znowu w mundurze wyładowałem się na tej samej stacji, na której 22 marca 1942 roku po siedmioletnim pobycie na froncie, Brygada wysiadła wracając z Tobruku i Gazali. Wówczas ze zdziwieniem patrzyliśmy na nową linię kolejową, która wyrosła w ciągu krótkich miesięcy i dotarła po fort Capuzzo i dalej. I znowu mieszkaliśmy, jak w sierpniu 1941 roku w tych samych omal namiotach, z których wyruszaliśmy w nieznaną i daleką. Trzy lata - tak niedawno i tak dawno zarazem. Przyjechaliśmy wtedy z upalnego Sidi Henish, nie bardzo wiedząc, dokąd jedziemy. Później na piaskach, naprzeciw ogrodu wydartego pustyni w Amriya, pierwszy Mieczysław Pruszyński zdradził cel jazdy w największym sekrecie. Był Pieniążek, młody blondyn, okryty skawą ucieczki z niewoli niemieckiej i przedarcia się na Wschód - został w Tobruku -, był Karol - lata chyba nad Niemcami, był Adolf Bocheński - który padł we Włoszech i tylu innych... Wspomnienia cisną się natarczywie, zapczywie jedne, drugie... Wyrastają postacie, które dawno już wiatr pustynny zasypał, wyrastają zdarzenia, które już pokrywa pył historii, zdarzenia, które są rozdziałem walki naszej.

Myślę o tym i myślę, że diabelnie ciężko leżeć na kocu rozłożonym na piasku, że nie jest tak, jak wtedy w tym Transit - campie. Nie ma już tego "Nafi" naprzeciw Pepańców, w którym chińskie piwo sprzedawali... Psiakrew - coś przyszaniania czerwienią oczy. Piaski nasze kochane, piaski nasze, choć niejedno młode życie zabrały. Z tego tam cyplu patrzyliśmy często w morze, kiedy mieliśmy jechać do Grecji. Już wracaliśmy w naszych marzeniach najserdeczniejszych do Europy, wracaliśmy bić się o Poleskę. Czworoboki oddziałów, rozpoczynające na wietrze śnieżno-amarantowe flagi na wysokich drzewcach.. Pojedziemy, wrócimy, pomścimy... a potem najkrytyczniejsze chwile, których już los nam nie szczędzi w tej wojnie. Załadowana już artyleria wróciła, sprzęt z czerwonymi kartkami ładunku morskiego pozostał smutny, ciężki, nieruchomy, jak nasze zawiedzione tęsknoty i marzenia. I wróciła beznadziejność duszna, jak najgorętszy hamsin, a droga znowu daleka jeszcze i kręta. Ofensywa niemiecka idzie w pustyni w poszumie masy czołgów i w warkocie silników samolotowych. Bierze Marsa Matruh, grozi Suezowi, uderza w życiodajną żyłę Imperium brytyjskiego, jak samoloty niemieckie uderzały

w jej serce - w Londyn. Tu i tam peźniliśmy straż, tu i tam biliśmy się w tych dniach beznadziejnych i kres już znaczących Wielkiej Brytanii. Nie darmo wykuwano linię Peszka, która jeszcze bronić miała później pod El Alamein. I przetrwaliśmy te najcięższe chwile, kiedy wydawało się, że niebo się nad nami i światem całym wali, kiedy wydawało się, że potworne wieko stalowej trumny zamyka się nad Europą i nad Polską. Przetrwaliśmy, choć najczystsza logika wypadków nas okłamywać pragnęła, że nic już z tych piasków nas nie wyciągnie, nic nie uchroni, nie uratuje.

A jednak jesteście we Włoszech.

Wspomnienia i rzeczywistość, i prawda jedna i ta sama. Tutaj, w tych pierwszych dniach Brygadowych wyrastało całe pokolenie karpackie, które żyje rozsypane po świecie wielką rodziną karpacką, tu wyrastali ci, którzy walczą tam we Włoszech, biją się na wszystkich szlakach i we wszystkich broniach naszych wojsk. Tutaj w tych gorących namiotach gromadzono książki, zbierano do plecaka poezje Beaudelaira i Verlaina, chowano do plecaka żołnierskiego nie tylko "Wiatr od morza", czy "Kamienie" Berenta, ale i filozofię Nietschego i Towiańskiego. Obok tego bractwa żołnierskiego, które wydawało się być od urodzenia z tym zawodem związane, obok tych wszystkich, których imię Brygady ze wszystkich zakątków świata ściągnęło - pętało się to cudowne towarzystwo artystyczne, malarskie, muzyczne, intelektualne, dziennikarskie, jak markietanki z oddziałami ciągnące. Ale ci częstokroć z karabinem w ręku, w pierwszej linii. Na tych piaskach tworzyły się drożdże, z których wstał Czyn, prosty żołnierski, karpacki czyn. Ot, w tym kinie wielkim i ciężkim były pierwsze próby "Złotego Ptaka" Szaniawskiego. Młodożeniec, Jarema, Wojtecki, Matuszczak, Piesch i patronujący całej czeredzie bakażarzy major Męotek. Opowiadano szeroko i barwnie o ucieczce podch. Bocheńskiego i ppor. Pruszyńskiego z Francji pod pokładem statku do Bejrutu. Gromadzili się wszyscy w "Nafi" obok kina, gdzie zawsze byli chętni słuchacze i chętni gawędziarze, a szczególnie, kiedy braci strzeleckiej znanej z niskich żoźdów "stawiali" wody sodowe i "Eggs end czips" wyżsi belkami. Niejeden z ówczesnych uczonych w piśmie zadeklamowałby dziś na tych piaskach:

"Eheu! fugaces, Postume, Postume,  
Labuntur anni, nec pietas moram  
Rugis et instanti senectae  
Afferet indomitaeque morti;"

W pracy i błyskach krótkich wycieczek rosły oddziały brygadowe, rosły naprzeciw wszystkim złym siłom i rosła nasza wiara. I któż by wówczas sądził, że z tej garstki, w której wszyscy wszystkich znali, w której sam jej dowódca gen. Kopański każdego omal historię osobistą poznał - wyrośnie wielka jednostka, że powstanie Armia Polska na Wschodzie, że nadejdą nowi towarzysze z sybirskiego bezbrzeża wyzwoleni. Przychodziły czasami po bezsennych, dusznych, hamsinowych nocach wątpienia. Wkradały się komunikatami o potędze niemieckiej, ogromnej, stalowej, która ścigała nas z Polski aż pod Aleksandrię. Peżżły po bezsennych nocach zmory sżabego uzbrojenia, kiedy jedna kompania od drugiej "choczkisy" do szkolenia pożyczają... Ale w rześkim poranku nikły mary i zwidzenia jak bagienne strzygi, mowy i groźby błakły, podpisy Możotowa i Ribbentropa na wieki położone pod rozbiór Polski stawały się nieważnym świstkiem wobec żołnierskiej postawy naszej.

Wspomnienia i tyle pożytecznych nauk, krzepiących doświadczeń. Waliło się wszystko i zawaliło. Rządili Niemcy, wywozili ludzi, budowali "Hitlerstrasse" i "Adolfplätze" - robili Niemcy na wieki w Polsce, na setki lat. Każda wieść jak kamień grobowy przywalała. Ale szliśmy dalej, wierząc, że gdzieś kiedyś diabli tę piekielną siłę wziąć muszą z tym niezwycciężonym czołgiem, z

tym wszędzie górującym samolotem. I rozděła się hitlerowska pur-  
chwa, obejmując już całą Europę i pół Afryki i ćwierć Azji. Trza-  
sła, pękła, zaczęła maleć, aż cofnęła się w swoje granice i z  
nich już wypierana jest.

My to dobrze znamy, bardzo dobrze. Z tej Pustyni Zachodniej,  
kiedy pierwszy raz widzieliśmy kilka samolotów angielskich w ku-  
pie, w nich widząc zapowiedź przyszłego olbrzyma - nabieraliśmy  
się. Właśnie wtedy, kiedy nasz złotousty Churchill przynosił tyl-  
ko ży do parlamentu - tak jak je teraz przynosi Polsce - i kiedy  
rząd Jego Królewskiej Mości gotował się do ewakuacji do Kanady -  
wierzyliśmy. Może jedyni spośród tych licznych Narodów Zjednoczo-  
nych, którzy narosli jak grzyby po deszczu wojennym i wybierają  
się ddyktować losy świata w San Francisco. Właśnie wtedy wierzy-  
liśmy, bo prosty rozum chłopski dyktował, że żadna siła się nie  
ostoi, obok drugiej siły, że prędzej czy później musi dojść do  
rozgrywki o państwo nad światem, że najświętszy nawet pakt jest  
tylko tymczasowością.

W te gorące dni siadaliśmy na piaskach, patrzyliśmy w morze,  
jak ostatni pomost naszych nadziei europejskich wracał z resztkami  
flotylli greckiej, wracał resztkami brytyjskiego korpusu eks-  
pedycyjnego. Morze i piasek nasza rzeczywistość, jedyna nasza na-  
dzieja.

Jedne obrazy gonią inne, obrazy liczne wielkie i małe, dob-  
re i złe. Chciałbys każde ziarnko piasku wziąć do dłoni i przez  
magiczne jakieś szkło powiększające wrócić tamte chwile, ludzi,  
namioty, wyczuć tamte serca i tamtych ludzi tętna. Ta, tych na-  
miotów już nie ma, tamtych ludzi nie ma, ale serca nasze, karpac-  
kie są te same. Te właśnie gorące serca i gorące głowy i plany i  
plany, czyny i czyny. Planowaliśmy na wieczorach to, co w samot-  
ności czujki nocnej w myślach wydobywałeś, gadając z sobą czujny,  
ostry, bojowy. Szły dyskusje gorące, czy Niemcy zawojują światem,  
jaką będziemy budowali Polskę, demokratyczną, Polskę Wszystkich,  
naszą Polskę. Wydobywaliśmy błędy dawną i wady w nas samych zako-  
rzenione, oczyszczaliśmy się w tej drodze do Polski wielkiej,  
kryształowej, od wad wszelkich wolnej, z samych szklanych domów  
zbudowanej, pracą znojną wrzącej. Przeorywaliśmy ją od podstaw  
tak, jak ją przeorywali ci, którzy dzień po dniu na walce z oku-  
pantem trwali, broniąc naszych najgłębszych praw i świętości w  
walce skrytej, żmudnej, szarej, pozbawionej uroku barwnych pro-  
porców, stalowych motorów i poszumu skrzydeł. W tej walce i w tej  
drodze do nowej Polski byliśmy jedni - Wy Tam i my tu, tak jak  
jedni dzisiaj jesteśmy, choć szczelnym murem odgraniczeni.

A później każdy wracał do oddziału, do plutonu, karabinu,  
działa, czy samochodu - do swego wkładu w ten wysiłek, do tego  
codziennego obowiązku, który legenda ubiera w wielkie czyny poś-  
więcenia żołnierskiego, bohaterstwa nadludzkiego. A był to prosty,  
żołnierski obowiązek, szary codziennością, trudny upałem, żmudny  
fizycznie.

I tak rosły myśli, rosły ideały, hartowały się w ogniu na-  
lotów i w ogniu patroli, znaczone każdym nowym nagrobkiem pus-  
tyнным z przestrzelonym hełmem. Dalekie były jeszcze nasze drogi  
do Polski, ale były jasne, proste, mocne tym najgłębszym przeko-  
naniem, że dojść musimy, że dojdziemy. W tym marszu jedni padną,  
jedni zostaną, ale dojdziemy!

Karpacka Brygado, daleki twój szlak,  
Spod śniegów Narviku w Libijski piach.

I wrócił pomost do Europy, zrzucony w kwietniu 1941 roku.  
Wróciliśmy do Europy. Niezwyciężony Rommel cofnął się i przepadł.

"Afrika Korps" poszła w rozsypkę, a szczątki jej Wału Atlantycznego bronić miały. Tętniące tym samym rytmem tamtych dni Karpacie oddziały urosły w dywizję, by wespół z Kresową, by wespół z czołgami, własnymi, wielkimi czołgami i własnymi samolotami - pamiętacie, jak uruchomialiśmy pierwsze tankietki włoskie w Tobruku i wydawało się nam, że to już niebo dla nas - ruszyć na front włoski.

Wróciły te kamienie Bernta i plecaki, i książki, i nauka historii i robienie historii. Henryk Dąbrowski i Bolonia, Rawenna, Florencja, - nasz polski renesans niesiony przez żaków z dalekich włoskich uczelni - i nasz zbrojny renesans niesiony bagnetami legionistów. Renesans kultury naszej zachodniej i renesans ducha niezwykłego. Włoskie i polskie barykady, Mazzini i polska demokracja na barykadach rewolucji wolnościowych, na szancach każdej prawdziwej wiosny ludów. Refreny historii niezmiennie, gorące, polską szkarłatną posoką zabarwione - refren walki. Może te Alpy już tylko dzielą drogę do Polski, może to Monte Cassino, Pescara. Uderzyli tak, jak Polacy uderzać umieją. Poszli na bagnety, na granaty, na tomigany - pazurami wdrapując się w skały gładkie i przepaściste poprzez zasieki, ogień krzyżowy i miotacze płomieni, poprzez miny i pola śmierci. Przedarli się poprzez zwały trupów gnijących angielskich, nowozelandzkich, kanadyjskich i hinduskich. Poszli po śmierć lub zwycięstwo. Wielu wzięło to pierwsze, ale nimi powstało zwycięstwo najcięższe i największe we Włoszech, zwycięstwo torujące drogę do Rzymu, otwierające jeszcze jedną bramę na naszej drodze do zielonych Karpat.

Dusznno jakos i goraco w namiocie, jak wtedy przed tobrucką jazdą. Wychodzę, by wciągnąć w płuca świeży i mocny zapach idący od morza, powiew który przynosi zapachy nasze, dalekie z Północy, wydobywający z zakamarków odcuciowych nowe wspomnienie, nową postać, nowe argumenty... Przeszłość miesza się z przyszłością, teraźniejszość z przeszłością. Jadę jak do Tobruku, ale ile jest zmian w polityce. Ziemię nam zabierają, Warszawę zniszczyli, ofiary, ofiary, kiedy będzie ich kres. Powiew jest chłodny, przejmujący, niebo wspaniale ugwieżdżone, można płynąć chyba, księżyc nie szybko wzejdzie. Przecież to wszystko minęło - to nie Tobruk, to Wrochy. Teraz już nalotów nie ma. Prawda są inne. Naloty na Lwów i Wilno i próby Mikołajczykowski, stałe próby wykazujące naszą dobrą wolę, naszą szczerą wiarę w szczerę zamiary...

Wielka nasza odwaga, duża nasza wiara.

Wślizguję się z powrotem w namiot, wyslizguję się myślom bezsenności noszącym, wysysającym cały nasz spokój, rozwagę, różnorodność, wypłukującym z nas pewność zwycięstwa.

Rankiem jedziemy jak wtedy. Ale nie torpedowcem, ani "Lato-  
ną", która poszła już dawno na dno, ale ogromnym statkiem transportowym, kilkanaście tysięcy ton liczącym. Małe torpedowce w mig po bokach ustawiają się, jak czujne owczarki. Aleksandria żegna swoją latarnią morską, swoim punktem traingulacyjnym chyba. Fala jest taka sama, jak wtedy w sierpniu, tylko nie widać okrętów francuskich, które schroniły się przed hitlerowskimi okupantami. Płyniemy od świtu i płyniemy switem naszego szlaku: Aleksandria, Marsa Matruh, Bug-Bug, Capuzzo, Halfaya - bronili się tutaj jeszcze Niemcy w styczniu 1942 - Bardia - rysuje się cypel tobrucki i wieża wodna na wzgórzu nad piekarnią. W mgłę wyrastają jeszcze niezdarne zarysy i cicha zatoka z zieloną samotną palmą w ustroniu, gdzie Anglicy pianino spod gruzów tobruckich ocalone przywieźli i koncertowali. Gdzieś studnia była, której wody nie wolno było używać, choć słodka była - zatruta. A dalej wspaniała dolina, żyzna, zielona, jak gałąź soczystej świerszczy-  
ny, rzucona na gorący, suchy piasek - dolina, nad którą były po-

zycje w skałach Karpackiego Pułku Artylerii Konnej. W tych wzgórzach musi być Medauer, muszą być Pimple, musi być przesmyk skalny obok dowództwa twierdzy na Bianca... Szkła powiększające obejmują, przybliżają szczyty szare, piaszczyste, to ciemniejsze w brąz przechodzące. Szkła wwiercają się w załomy, wędrują nerwowo, niespokojnie, by jeszcze jakiś szczegół wydobyć, by jeszcze jedno wspomnienie, ukryte w podgłębiu świadomości wyzbyć, wyrzucić na fale świadomości, na fale rozpedzonych myśli. Może spoza tego pagóra pustynnego wysnuje się nowa, barwna nie głęboko tkwiącego kompleksu, ciągnąca za sobą obrazy duże i małe, dni minione bezpowrotnie, jak kwiat zasuszony w dziewczęcym albumie niesie woń pierwszych miłosnych spojrzeń, pierwszych powiewów musnięć droni, musnięć palców, zapach wieczornych wrażeń, kwitnących kasztanów, mokrych klonów i rozgrzanych sosen. Zapachy gorących spojrzeń, młodych myśli, nieokreślonych uczuć, nieokreślonego wymiaru, nieuchwytnego zmysłu.

Coś szarpie za trzewia, trzepocze dziewczęcym zakłopotaniem, przelewa się błyskami między palcami, jak wodą czerpaną dłońmi z czystego źródła, tęcejąca w promieniach słońca.

Kochane piaski, kochane schrony, których pchły i szczury ni-  
kną gdzieś w tych wspomnieniach, wolno przesuwających się w nie-  
widocznym ruchu statku wzdłuż wybrzeży tobruckich, jak niegdyś  
statek szpitalny niemiecki, bezkarny prawem międzynarodowym,  
przesuwał się bezszelestnie wzdłuż wybrzeży do Bardii. Psiakrew,  
znowu ten romantyzm, nasze serca duszący, a nie zimne, wyrachowa-  
ne obliczenia, matematyczna polityka, i także moralność i między-  
narodowa etyka. Cholerny świat, wszyscy urodziliśmy się zbyt póź-  
no, jak na otaczający nas materializm i nas wolno zjadający.  
Idealiści - w te piachy zapadający z wielkim słowem i wielkim ha-  
szem w sercu - Wolność. Romantycy - wolący gnić ze szczurami po  
zapadłych dziurach, niż szukać bytowania na własnej ziemi we  
współpracy z niemieckim okupantem, jak tyle innych narodów euro-  
pejskich, które za to będą chwalone, omal uwielbiane, kiedy w os-  
tatniej chwili przyskoczą bez strat do nowych zwycięzców. O wiel-  
cy optymiści - wierzący w dniach, kiedy sprzedaje się najszczyt-  
niejszą hasła i idee za kilka lat wątpliwego spokoju i całości,  
ułudnej całości własnej skóry - w sprawiedliwość na ziemi, w nowy  
świat i nowego Człowieka. Jesteśmy wciąż niezmienni, ponad tym  
tałatajstwem powszechnoludzkim, ponad tą mierzwą polityczną, jak  
niezmienni byli ci, jadący na San Domingo, jak niezmienni byli  
ci sprzed stu laty, jadący w kibitkach sybirskich, skazani przez  
tego cara, który uznanie znalazł w Anglii w argumentach Churchilla.

Tobruk zanika w mgłach dali. Zostają myśli o romantyzmie, o  
wierze, o tej nieśmiertelnej żywotności młodego narodu, a nie  
starego kupieckiego wyrachowania. Zostaje ta wiecznie mocna bez-  
kompromisowość - którą polityka kiedyś wyleczyć będzie musiała,  
zostaje ta bezkompromisowość, za którą my najwięcej płacimy.  
Czy w rachunku ostatecznym?

Fala niesie, okręt rzuca. Idziemy kursem na Bengazi, na Sy-  
cylię, na Etnę. Włochy - potęga faszystowska pustyni afrykańs-  
kiej, potęga sięgająca po połowę Afryki, potęga, która minęła,  
jak każda inna wyrosła na przemocy i niesprawiedliwości minąć  
musi.

X X X

Premilcuore zatoneżo głęboko w górach nad rzeką bystrą, pod okapem wysokim spadzistych szczytów. Domki są jedno i dwupiętrowe i wyrastają na stromym brzegu, zieleniejącym włoskimi sosnami. Domy z centralnym ogrzewaniem, własną wodą bieżącą mieszają się ze starymi budowlami o kuchniach z głębokimi, zadymionymi paleniskami, trzaskającymi polanami drzewa i staroswieckimi rożnami, z basztą nad bramą wjazdową, do ciasnego rynku wciśnionego w terażniejszość plątającą się drutami telefonicznymi po przeszłości gzymsów włoskich. Architektura ostrożuków i poważna romańska, ciosana ciężko w kamieniu górskim wrasta wieżami i dachami miasta, wbudowanego tarasami w zbocza. Wąskie uliczki, bruk krakowskiego rynku, wąskie okiennice domów, w których na czcigodnych ścianach rozwiesiły się jeszcze czcigodniejsze sztychy dostojnych Medyceuszy.

Polana wesoło trzaskają na kominku kwatery głównej karpackiej. A poniżej dom któregoś z kuzynów Mussoliniego - liczne pokoje z łóżkami bez pokryć już - kuchnia z paleniskiem otwartym i trójnogiem - średniowiecze i nowoczesność światła elektrycznego, wodociągu, kaloryferu, łazienki. W salonie wygodne kanapy, stary zegar wydzwania dziwne melodie w tym opuszczonym domu, w którym mieszka się zapach trumienny z życiem tych, którzy tędy żywi przechodzą.

Woda w rzece rwie, deszcz siąpie, a rano cudowne słońce świeci i skrzy się po ośnieżonych szczytach. Dzieci rzucają kulami ze śniegu, toczą bałwany, choć tam za tą górą wojna przewala się grzmotami. Ale tu granat nieba jest taki sam jak w Zwardoniu, czy Wiśle, czy na Pop Iwanie, zbocza uginają się od ciężkich, obwisłych, wąsatych, osoplonych świerków i rwą ostro ku niebu. Horyzont jest mały, zamknięty kątami zwartych szczytów. Rażno ruszają karpaciecy, którzy wreszcie pustynne miraży zamienili na rzeczywistość przyrody karpackiej. Rzeczywistość w cudzyszkowie, ale niemniej bliższa od piasków gorących. Rażno rusza się człowiek w tym śniegu, w tym czystym powietrzu, w tych jasnych promieniach słońca, mieniących się jak najlepsze polskie brylanty śnieżne. Krajobraz jest bliski, taki nasz, i taki jeszcze odległy.

Samochód pnie się wysoko, zadziera stromością serpentyny górskiej, wijącej się przełęczą wysoko na szczycie. Skręca i za każdym razem nawracamy, bo wziąć zakrętu nie można. Śnieg rozrobił się w błoto, a zakręt ostry o rozwartości kąta chyba z 30 stopni. Ale bierzemy je dzielnie - chłopcy jeżdżą, jakby całe życie jeździli tylko samochodami. A przecież tak jeszcze niedawno, nad słonym jeziorem czerwono-fioletowym w Meksie szkolono pierwsze zastępy kierowców, których nie można było uznać w Brygadzie do cyfry 120, potrzebnych do wozów kolumny samochodowej transportów. Dziś dywizja ma kierowców idących w tysiące, skoro posiada kilka tysięcy pojazdów mechanicznych najróżnorodniejszego typu. Garstka pierwszych rozrosła się w wielką siłę i teraz jeden z najmłodszych, który szlaki rosyjskie przeszedł, zdobywa szczyt piętnastką, choć droga przeznaczona wyłącznie dla żakików.

Na przełęczu mijamy ciężką artylerię angielską, przesuwającą się gdzieś popod szczyty. Po drugiej stronie gór, spadających ku nizinie lombardzkiej - już nie ma śniegu. Zielen, czerwien jesiennych liści, gdzieniegdzie wykysiała od północnych wiatrów skała. Zjazdy są jeszcze gorsze, jeszcze węższe, przepaściste. Droga zawisa na stromym zboczu apenińskim, gdzieniegdzie podtrzymywana kruszącym podmurowaniem, skręca nad samą przepaścią ostro, znacząc na wyszczerbionych kamieniach ochronnych ślady tych, którzy ją nierozważnie przeskoczyć pragnęli. Bliżej miasta wyłaniającego się w oparach mgielnych, w jakichś norach górskich ukazują się nagle i niespodziewanie piękne meble, okryte szkarłatem pluszu, złotem brokatu, jakieś dywany. Ukryte, czy zrabowane? Tej tajemnicy nie odgadniemy.

Droga rozpływa się w rozlewisko błotne, w którym taśmy ochronne oznaczające granicę pól minowych żałosnie zatracają swoją biel, a zielen przydrożna wynurza się nieoczekiwanie w pośrodku bagna drożnego, o głębokich koleinach łańcuchów samochodowych. Sterty opakowań pocisków moździerzy, "pijatów" - zdradzają walkę zaciętą, jaką prowadzono. Mostu nie ma. "Banlej" wspina się zacierzyscie w przeciwległy stok.

Rumowiska domów - obrazek tak powszechny w całym Włoszech. Sierpy i mżoty gdzieś tam, to znowu napisy "niech żyje król" i już wygodna droga asfaltowa wiedzie. Po rowach tu i owdzie szczątki samochodów, które miały pierwszeństwo w zetknięciu się z niemieckimi minami. A obok koło jakiegoś domu bez ściany, stoły skrzynek z minami zostały niewykorzystane - nareszcie już nieprzydatne.

Rocca Casciano jest jednym wielkim garażem, jedną wielką zbrojownią wszelkich pojazdów ciężarowych, pancernych i karierów. Widać na pierwszy rzut oka, że nieprzyjaciół nie posiada lotnictwa. Gdyby je miał, to pancerniki ułanów podolskich grzęzłyby po osie w okolicznych błotach, a nie korzystałyby z twardych powierzchni miejskich. Ułani czekają na wybudowanie mostu nad urwiskiem, powstałym w miejscu dawnego, łączącego drogę z Dovadola. Właśnie do tej Dovadoli - jeszcze przez Niemców zajętej - podąża patrol jednego z batalionów kresowych od Wschodu przez szczyty górskie, a ułani czekają na przerzucenie swoich pancerek przez, budujący się na kilkunastometrowej wysokości, most - żmudne z licznych zadań saperских.

Artyleria nieustannie wstrząsa dachówkami starych domów Rocca Casciano. To ciężka bije, ponad chmury i ponad ten szczyt najbliższy, na niemieckie pozycje. Właśnie ten szczyt najbliższy trzeba zdobyć samochodem, by dostać się na pierwszą linię naszej piechoty. Nie jest to już łatwe. Mój towarzysz staje w samochodzie, by sprawdzić, co wstrzymuje długie węzowisko w przeprawie przez obsuwającą się szosę, dosłownie przypiętą palikami saperскими do ruchomej góry, ostro lecącej na żeb na szyję właśnie na rzekę i na most, budujący się w największym wysiłku i pośpiechu. Żandarm wolno przepuszcza wozy, by przyfastrygowana do zsuwającego się zbocza droga nie spadła pod ciężarem do rzeki niżej toczącej swoje fale. Wloką się więc stępa samochody, przesuwane, jak ziarna różańca, białą ręką żandarma regulującego ruch dofrontowy. A później samochód pżynie dosłownie w pośrodkowej mazi błotnej, buksują tu i owdzie koła, parska motor, kręcą się koła beznadziejnie, kręci się kierownica, jak bezsilna szukając nerwowo jakiegoś twardszego oporu, który pozwoliłby chwycić ziemię twardą i popłynąć dalej. Ale już pługi ogromnego "buldozera" wyrównują te błota, odrzucają je na boki i tworzą szosę, która choć przymocowana ledwo co, trzyma się jeszcze i jeszcze trzymać będzie.

Wreszcie wypłynęliśmy na szczyt górski. Tu już jest dowództwo brygady, stoi artyleria polowa nad gościńcem i wali tuż nad przejeżdżającymi wozami, by żukiem dokładnie obliczonej paraboli lecieć ponad samym szczytem w pozycje niemieckie. Stoi jakiś - Bogu ducha winien - autobus o pięknych liniach opływowych, którego komfortowe skórzane fotele służą już zapewne za jakieś pasy, czy wyroby skórzane, którego motor znikł i uzupełnił zapewne swoimi częściami dwadzieścia innych motorów, a którego opony - jako najcenniejsze - wędrują gdzieś daleko służąc szczęśliwemu posiadaczowi włoskiemu do przeżycia dalszych dni nędzy wojennej.

Droga idzie teraz piargami, kręci się przekęczami skalnymi i kiedy idzie od południa, to wtulają się w jej zakamarkach liczne karjery, podciągnięte tutaj pod osłoną nocy. Kiedy prze-

rzuca się na północne stoki - cisza śmiertelna, samochód tylko szybciej pod obserwacją bezpośrednią nieprzyjaciela. Jesteśmy na ostatnim szczycie Monte Chioda. Przykucnięte do piargów kariersy pozostają już w tyle, leżą tylko telefoniści i radiotelegrafiści przy swoich aparatach, wtuleni zielonymi płaszczami w zieloną kosówkę. Pod szczytem wyciągnęła swoje oczy - na żyrafiej szyi osadzone - niemiecka lorneta krzyżowa obserwacji dowództwa dywizji karpackiej i walczącej brygady. W sam szczyt krecio wdrapał się obserwator artyleryjski bezpośredniego wsparcia. Oczy lornet, jak peryskopy wwiercają się z tego ostatniego naszego szczytu naprzeciw, w nieprzyjacielskie rejony, wwiercają się ukryte, chciwe, w tamte góry przeciwległe ostrymi, jasnymi plamami leżące przed nami. Oto Monte Gattone z ciemną łata, obok jasna, obślizgła, ostra piramida - Monte Lecchia, dalej, Monte Trebio.

- Nasza piechota wzięła ten kościółek, o niżej przy tym małym cmentarzyku. Teraz pnie się po zboczu, tam wyżej. Na tym szczycie, na tej rudej łysinie leżą Niemcy. Będziemy ich za chwilę obkładali - wyjaśnia kolega, z którym czwartą kochaną, krakowską budę robiliśmy, nigdy nie przypuszczając, że spotkamy się właśnie tu pod tą Monte Lecchia w Apeninach. - Obok tego szczytu widoczny mniejszy, drapią się po nim nasi. - tłumaczy dalej.

- Widzę - wykrzykuje dumny. Najpierw obserwuję nasze celne ognie artyleryjskie, a później możolny trud wspinaczki bojowej, nieznanych z tej odległości postaci. O, teraz fontanny ziemi tryskają pióropuszem dymu ku niebu, przysłaniając niektórych - to Niemcy macają ich ogniem swojej artylerii. I teraz te dwa ognie nasz i niemiecki kładą się obok siebie, przedzielone niewielką przestrzenią, grodzącą nacierających od broniących się. Nasz orze dokładnie stanowiska niemieckie, plujące ogniem swojej broni maszynowej w tych wspinających się zapczywie i przypadających raz po raz ku ziemi, a niemiecki bije pociskami artyleryjskimi w idących wciąż naprzód po stromej ścianie. Oba ognie krzyżują się gdzieś zapewne w powietrzu, wstrząsają echami górskimi, przepadającymi tam na horyzoncie Wspierają tych, by utrzymali szczyt, kładąc przed karpaczkami gęstą barierę nieustannych wybuchów, ale nasza artyleria bije po szczycie gęsto, celnie, dokładnie. Teraz gdzieś w dudnieniu nadjeżdżają pociski "medium" - macają pewnie artylerię niemiecką, by nie przeszkadzała naszemu natarciu. Swiszcz, grzmi głucho stokrotnymi echami i niknie, by oderwać się jeszcze palbą wybuchów, powtarzanych nieprzerwaną kaskadą po jarach, przepaściach i parowach górskich. Ciężka zamyka gardła niemieckiej artylerii, walić w jej stanowiska wcięte na mapie, obliczone dokładnie co do metra.

Postacie walczą teraz ze zboczem, z ogniem niemieckim, z zmęczeniem tej wspinaczki, ale posuwają się niezmordowanie naprzód. Rosną już przed nimi radosne pióropusze własnej artylerii i rośnie w nich wiara w uchwycenie tego szczytu, w zdobycie go z granatem w dłoni, z tomiganem w rękę, z bagnetem na karabinie. Idą. Nikną za jakimiś załomami. Może się już nie podniosą, zgasze ni na zawsze niemieckim "szmajserem", czy "spanduem". Nie. Podnosi się jeden, drugi, czwarty... Idą znowu. Przepadli.

Świat lornety krzyżowej staje się światem tamtych, światem tej dramatycznej walki, tego piekielnego zmagania, by wykonać zadanie, by donieść swój granat, czy tomigan, by zwyciężyć. Szkała zbliżają, idą z nimi, przeżywają każdy nowy ogień niemiecki sieczący po nich, kierują własnym ogniem, niosą nasze pociski, nowe ognie wsparcia. Nie jesteście sami. Tu nie jest tylko martwa, współczująca, bezsilna obserwacja. Tu działa gęsta sieć całej łączności brygadowej tu działają obserwacje wszystkich ogni wsparcia brygadowego tak, jak gdzieś dalej zapewne leży wysunięta



obserwacja batalionowa ze swoimi ogniami. Właśnie idą salwy artyleryjskie nowe jakieś, inne w barwie tonu, w nasileniu. Tłamszą ten szczyt i tłamszą w nim niejedno życie ludzkie.

Idą upiornie, po karpacku, w dymach wybuchów wyrastają, jak widma. Dojdą, muszą dojsć!

Wiatr dmie coraz ostrzej, mocniej zatykając nozdrza późnym ziąbem. Ponad głowami przewalają się ciężkie, sine chmury listopadowe, zakrywając wczorajsze słońce, wyczarowujące w Premilcuore wiosnę beskidzką. Głównie na niebie coraz ciemniejszy, aż wolno zaczyna siąpić deszcz drobny, gęsty. Gdzieś już kiedyś taki deszcz padał i takie chmury pędziły od północy i były również ciemne i ołowiane i było również zimno, przejmujące zimno jak dzisiaj. Gdzie to było - patrzę na towarzyszy z karpacką choinką na rękawach, z baretkami Krzyża Walecznych na piersiach. Już wiem. W Tobruku, w grudniu 1941 roku po uwolnieniu twierdzy, kiedy wyjeżdżaliśmy drogą bardyjską. Tam się zamykał rozdział tobrucki, tutaj otwiera się rozdział apeniński. Nie przypuszczaliśmy - patrząc na niknący Tobruk, że tędy trzeba będzie wracać do Karpat..

Wiatr gwiżdże na piszczałkach zakomów skalnych, na zrębach kamienistych, na urwistych zboczach melodią to skąbnącą, to grmiącą mocno, jak daleko przewalająca się na wschodzie artyleria, której wybuchy dochodzą już tutaj tylko jednostajnym dudnięciem. To Anglicy wspierają swoim "medium" działania kresowej, która siedzi na Monte Maggiore, na San Martino in Avello, na Testa, na Casa Luda - wieńcem leżących nad rodzinnym Predappio Mussoliniego - i nie zagrąwszy miejsca pędzi dalej ku północy.

Radio odzywa się cichym tita, titata - wszyscy patrzą na radiotelegrafistę, jak skulony słucha nieznanej melodii. Spływa meldunek z powietrza - gra tajemniczym kluczem, niesie wieść o tamtych, którzy gdzieś popod niemieckimi pozycjami nadają meldunek, niosą wieść od tych, atakujących niemiecki szczyt. I już meldunek radiowy wciska się w mikrofon telefonicznej słuchawki, by po chwili wrzynać się pociskami w lufy działa. Pędzą nowe, groźne, straszne, śmierć niosące, świszczą wściekle nisko skowycząc nad przełęczą. Salwa za salwą, strzał za strzałem - burzą się jednostajnym, długim szumem pomrukującym groźnie. Mocny wiatr cichnie, milknieomal rozplywając się po wykrotach skalnych. Deszcz zaczyna mocniej, poczyną się zbliżać listopadowy rychły zmierzch.

Rano idziemy ścieżką, która chyba nie jest zbyt niebezpieczną, bo wiele widocznych odcisków żołnierskich butów w rozrobionym błocie. Zostawiamy za sobą pod przełęczą ukryte samochody, kariery. Schodzimy ku pozycjom.

Ostatnie ścieżki, po których żak z chorągwią sanitarną przepycha się z trudem, choć jeden już taki śmiełek leży głęboko w dole - spada widocznie. Ścieżka zjeżdża po mokrym, błotnistym zboczku ku kępie drzew, ku ciemnej plamie, w której jaśnieje niewielki kościółek. Zbliżamy się ku małej sadzawce takiej, jakiej u nas pełno wszędy przy gospodarskich obejściach. Tylko kaczek na niej, ani gęsi nie widzimy. Tuż obok małej, górski cmentarzyk o nielicznych mogiłkach, trochę suchego kwiecia - astry chyba - trochę szarych, biednych krzyżyków. Ogrodzenie tylko ciężkie, żelazne. Cmentarzyk niewiele większy od tej sadzawki, kilkumetrowej wielkości, schronił się pod drzewa, stojące na miedzy i przywarł równymi rzędami mogił do nieznacznego pagórka kościelnego. Liście nie żółcą się, nie czerwienieją, ale szernieją leżą wduszone w małą ścieżynę między mogiłkami.

Przed cmentarzykiem wiejskim leży kilka noszy; jedne, drugie, piąte. Pięć. Koce spięte, jak te tobruckie, dużymi niezdarnymi agrafkami, kształtują wyraźnie głowy. Niżej sterczą żołnierskie, strudzone w ostatnim ataku nogi. Z butami i bez butów, w szarych, w niebieski odcień wpadających, pokrwawionych skarpetach. To tych którzy wczoraj nie doszli już do szczytu, to te żołnierskie nie-strudzone nogi, które zeszyły pustynie Afryki, które zeszyły rosyjskie tundry, które szły przez góry, rzeki, lądy i morza w drodze do Polski. Tu, w ostatnim natarciu odmówiły już posłuszeństwa, przecięte rozrywem niemieckiego granatu, wybuchem miny, kulą "szmajserowskiej" serii. Żołnierskie, karpackie nogi nie doniosły do Polski, choć tak już blisko. Utknęły, by tu w tym miejscu postoję znaleźć wieczny już postój - na cmentarzyku w San Sezano.

Ciche, nieruchome, żołnierskie ciała na naszych drogach rozsiane, na naszych drogach wznoszące przydrożne służy karpackiej, tułaczkiej, żołnierskiej ku Tobie wędrowce. Bo "śmierć za swobodne życie stokroć jest lepszą, niż podłe życie w niewoli..." i dlatego "będziemy się walić w cudze rowy i ślać po obcych drogach, ale dojdziemy!".

Pod kościółkiem, zdziwiony tym niezwykłym obrazem, stoi Łazik, który nas minął. Ewakuacja rannych. Pásowe bandażę na rękach na głowach, nieruchome, pokrwawione postacie. Rana granatu, rana pocisku, rany, rany... To ci, co żywo wyszli, co doszli o własnych siłach, ale ich z n i e s i o n o.

Wąskie schody stromo wiodą obok worków z ziarnem do małej plebanii. W pokoju, mapy - ksiądz kapelan, kancelaria dowództwa batalionu nacierającego, trzeciego karpackiego. Nad mapą porucznik - twarz znajoma, kto to - męczę się długo. Serdeczne powitanie i jeszcze nie wiem, chcę najprościej było by zapytać, albo przeczytać brygadowy znaczek na ręku noszony.

- Ostatni raz widzieliśmy się w Domu Żołnierza w Kairze, po Tobruku chyba. A przedostatni...

- W Krakowie, panie sędzio, na uniwersytecie i po uniwersytecie. W Krakowie...

Śmiejemy się długo serdecznie dżonie ściskając.

Stojący obok chorąży był chyba sierżantem w Tobruku, czy Mar sa Matruh... Pamięta Pan... Znajome twarze, znajome serca, tak samo bijące jak wtedy w piaskach.

Ale nie ma czasu na sentymenty. Oto tutaj wysunięty punkt dowodzenia. Na mapie chyba ze dwa kilometry będzie. Tak, ale to będzie z osiem kilometrów ciężkiej, górskiej drogi. Jąko? Góry, jary, strumienie, ścieżki kręte. Pójdziemy? Pójdziemy. Patrę na mego towarzysza - musimy pójść. Zgadza się chętnie. Wychodzimy z kwatery bez przewodnika. Porucznik odprowadza nas do ścieżki, która już taśmami poprowadzi, jak najlepszy przewodnik. Strzałkę i numer batalionowy przedstawia nam u początku dróżki, która nas zabierze. Żegnamy się krótko. Do zobaczenia. Kraków, Tobruk, Kair, San Sezano w Apeninach - gdzie następnym razem...

Ścieżka idzie wyraźnie ku najbliższym domostwom, gubi się w podwórku zakręconym, wypływa bocznym ogrodzeniem i spada polami, na których pracuje pieczołowicie dwóch samotnych Włochów. Wspinają się i wiją bluszczowo pod stromą górę. Od dołu idzie ciężko dwóch sanitariuszy. Nasze kocem przewiązane, kartka przypięta, nazwisko jednego z wielu tych, co padli dzisiejszej nocy. Podchodzimy jakoś ciężko, milcząc. I nawet słońce, które przedarło się przez chmury, nie rzuca jaśniejszych promieni w naszym cichym marszu. Przystajemy. Dróżka ginie w gąszczach, urwiskami spadającymi ku

głębokiemu jarowi. Na przeciwległym stoku walą się muły niosące moździerze, amunicję, żywność, wodę. Walą się bezsilnie i nie mogą się już poderwać, choć ciemni cypryjczycy nawołują, podnoszą.

Ciężko schodzimy po ostrych wężowiskach, wśród białych taśm ostrzegających przed nierozważnym krokiem terenu zaminowanego. Zza którejs ściany zieleni, mozolnie wspinają się nosze z obsuwającym się wskutek wielkiej pochyłości ciężem, zawiniętym w koc pełen śladów skrzepłej krwi. Noszowi przystają, ciężko dyszą. Krótka rozmowa. Nocny wypad - szmajser. Patrzę bez słowa na ciało kocem okryte, to na mego towarzysza. Myślimy milcząc to samo, ten sam ból przeżywamy. Polityka zielonych stołów, która wobec tej nieprzerwanej, milionowej ofiary Polski - jest Rajdactwem. Zaczyskają się pięści. Kiedyś Zachód jeszcze zapłaci własną monetą za to postępowanie, za tę politykę. Zapłaci lichwiarską cenę własnym istnieniem.

Wreszcie ta piekielna góra kończy się u dołu cicho szmerzącym strumykiem, gdzieś tam wyżej kipi wesołymi kaskadami srebrząca się woda na tle zieleni traw. Wiosna, słońce, zielen. Wysuwa się z krzaczastej gęszy nasz patrol. Prowadzą jęńca niemieckiego granaty. W ręku jakieś długie, podejrzane przedmioty. A to co? Nowe miny niemieckie, do tej chwili nie dające się rozpoznać przy pomocy naszych przyrządów. Patrol przesuwają się wolno, jeniec zaróżniony, brudny wlecze się ze spuszczoną głową.

Ścieżka ostrymi zygzakami pnie się wśród krzewów ku górze. Muły niezdecydowanie stoją, cypryjczycy również. Trzeba już chwycić rękoma ponad nami na stoku rosnące krzaki i windować się, by poderwać się o pół metra wyżej po tej stromoźnie, którą nasi zdobywać musieli. Krok za krokiem wolno podchodzimy, chyba jak pod Olczyisko w Tatrach. Wreszcie kończy się to zbocze, przemieniając się w miększą, łagodniejszą drożynę z długim sznurem wolno kroczących obciążonych mužów. Znowu celem najbliższym mały domek. Ale już spod bateldresów wyciągamy swetry, a pot zalewa oczy, słońce mocząc twarz całą, jak wtedy, kiedy po lądowaniu maszerowaliśmy z ciemnego, nieznanego portu tobruckiego na pierwsze miejsce naszego noclegu. Domek już jest, ale my jeszcze musimy się przedostać przez ten pagór, a potem już zboczem, poza szczytem którego Niemcy jeszcze siedzą i bronią się.

Przy drodze leżą karpaczczyki, znużeni, czerwoni, przepoceni z tomiganami na szyi, z granatami, z karabinkami i wypoczywają w tej piekielnej drodze. Podsuwają się pod szczyt Monte San Bosco - to jeden z batalionów, który pójdzie do dalszego natarcia i złuże zmęczone walkami oddziały. Ścieżka się wije obok stanowisk ukrytych zielonymi gałęziami, a na niej czerwone sople zeszkłej krwi. Ktoś był ranny, a może z noszy... Cicho w powietrzu - wojna czai się zamaskowana po szczytach, po dolinach, czai się, by pod osłoną nocy wybuchnąć piekielną sarabandą.

- Który to domek? - pytam i staram się rozróżnić tę kępę od sąsiedniej, wskazanej nam przez porucznika, kiedy nas żegnał na rozstaju ścieżek pod San Sezano. Ale drożka snuje się dalej, niknąc w zieleni i w rozlewiskach błotnych, porośniętych jakąś roślinnością. Opadamy w dół, windujemy się znowu wzgórzem i wreszcie w słońcu wyrasta sielski i anielski obrazek małego, białego domku, sadu jeszcze zielonego, kop siana skoszonego. Cisza spływa opłotkami. W miarę urastania obrazu wraca rzeczywistość, a oddala się uluda ciszy, spokoju, podkarpackiej sielskości. Na podwórzu leżą nasi żołnierze, biegają meldunki, schodzą zbrojne patrole, odchodzą w nieznaną, które trzeba rozpoznać.

Na małym ganeczku ktoś stoi i wpatruje się w nas uporczywie,

wyczekująco. W słońcu, ukośnymi promieniami padającym - rude włosy lśnią tycjanowską czerwienią, bluza, czy koszula rozchłestana poetycko, ruchy rąk oznaczają zniecierpliwienie: - Nie wierzyłem, że przytaszczysz się na nasz odcinek - woża z daleka karpacki poeta, wciśnięty w prozę munduru kaprańskiego, woża, jak wożał nad mętym, bagdadzkim Tygrysem, nad którym przeżywalismy niejedną z tysiąca i jednej nocy.

Wchodzimy w niskie izby wiejskie - na szerokich łożach wysokie aż po powagę pierzyny. Łoża chłopskie, zasobne. Boże, ilu nas tutaj w kupie starej wiary karpackiej. Poeta - piechocińiec gości ale piechota nie ma gdzie nas przyjąć, bo jak zawsze zające po dołkach tylko się gnieźdzą. Ale artylerzyści z proporcami artylerii konnej, tradycyjnie noszonymi, już wprowadzają w sąsiednią izbę, jeszcze mniejszą. Tu działa wysunięty punkt obserwacyjny artyleryjski, tu kwateruje jako oko bezpośredniego wsparcia batalionowego.

Są wszyscy znajomi, przyjaciele. Stefan już jest podporucznikiem. Postać wysoka, z lornetą, z mapnikiem, o płowej czuprynie odziedziczonej po matce Litwince - jest całkowicie kossakowska. Oczy chabrowe, włosy lniane, dziecienna twarzyczka. W Tobruku był kanonierem, o którym poeta artyleryjski Wąs pisał w "Baterii do dział":

Tuż koło armaty  
mały chłopczyzna,  
najmłodszy w baterii  
a sliczny jak dziewczyna,  
za każdym pociskiem  
- zamek zawiera,  
za każdym wystrzałem  
znowa go otwiera...  
I śmieje się głośno,  
do armaty, do dziadka  
a tak jest przejęty, że czasem z ukradka  
żbę z potem zmiesza radością.  
Na pierwszym pocisku,  
co przodował w nawale -  
wykaligrafował w dopisku -  
Mamusia...  
Ale, gdy spostrzegł starych uśmiechy,  
- więc zmazał -  
I niby to ukochanej imię dopisał:  
Irusia!...

Stoi przede mną groźny, bojowy. Wydaje do telefonu jakieś polecenia, rozkazy, ogień baterii... Tam w Tobruku był zamkowym - teraz już sam posyła pociski wrogom, pociski odstrzeliwane przez całe działy, baterie, a przy zamkach stoi nowy zastęp, takich jak on, młodych, nowy zastęp mszczących się, walczących z niemiecką krzywdą.

- Co z rodzicami?

- Ojciec umarł w obozie... Teraz, tutaj doszła wieść do mnie. Matka z Halą ciężko pracują. Patrz tu, otrzymałem fotografie.

Na fotografii młoda dziewczyna w drewnianym obuwiu, tak dobrze znanym pod okupacją w zimie, matka zmęczona, zgięta, tylko twarz stanowcza, zacięta, nieustępliwa. Ta zaciętość i ta nędza widoczna mówiły znacznie więcej od najlepszego artykułu, mówiły znacznie lepiej od najwspanialej ułożonego przemówienia parlamentarnego. Ci ludzie "Tam" walczą, walczyli i walczyć będą, jak my tutaj, z tą samą twardą zaciętością, z tym samym polskim uporem, z tą samą bezgraniczną wiarą w sprawiedliwość, w odwieczne prawa ludzkie i boskie. Jesteśmy wszędzie tacy sami - tu i tam,

równie silni, równie niespożyty, zahartowani latami walki z bezwzględnością okupacyjną.

- Prosimy do stołu - szerokim gestem wskazywał Stefan na brudnawą pierzynę, które w charakterze obrusów mocno się obniżyły pod zawartością żołnierskich menażek i nie sięgają już pod powagę. Ktoś otwiera konserwy, a znakomity autor "Ziemi Cyrenaiki" otwiera butelkę skromnego cienkiszka. Z ukrycia wypływa jeden obity garnuczek ze śladami gotowanej w nim kawy, herbaty, zupy i Bóg wie jeszcze czego. Oto karta, mieniąca się tęczą żołnierskiego jadłospisu. Otkuczony kubek krąży z rąk do rąk, z ust do ust. Płynię opowiadanie, płynię przerywane pytaniami: Kto jeszcze żyje... Kto padł ostatnio... Czy wtedy na krótką sekundę myśli nasze przypuszczają, że w dwa tygodnie później już w tym składzie nie będziemy się mogli spotkać? Zginął jeden z tych, który od kanoniera do oficera pełnił służbę karpacką, od Samaku po szczyty apenińskie, zginął skromnie pełniąc swój żołnierski obowiązek tak, jak zawsze to czynił - kolega lat szkolnych i towarzysz Marian Galas. Odszedł jeden z wielu, jeden z tych, którzy przeszli granicę szlakiem karpackim i jeden z tych, który związał się z nią do śmierci. Padł właśnie w tych górach, w których wtedy śmialiśmy się, żartowali i przypominali dawne dzieje i starego Rychla. Życie spleta się ze śmiercią, jak w żołnierskim marszu być musi.

- Walczyć trzeba wręcz, Niemiec zażarty, nieustępliwy. Granatem najczęściej trzeba sobie drogę torować. Walczyliśmy w nocy, cholernie ciężko było i często nas właśnie artyleria, tu stojąca w osobach naszych miłych gospodarzy, salwuje. Ogień jej przychodzi wtedy kiedy trzeba, przychodzi, by odciąć, by położyć nieprzyjaciela, gdy przeciwdzierzeniem nadbiega, gdy mamy poderwać się do nowego ataku, ostatecznego. Z nimi idealnie się współpracuje. Nasz batalion idzie krok w krok z nimi od Tobruku, kiedy jeszcze pod słynnym Medaurem nas wspierali. Ramię w ramię z piechotą, choć to artyleria konna i z proporcjami, ale konia ani w ząb, chyba mechaniczne...

Wchodzi dowódca dywizjonu kpt. B., który właśnie w historii batalionu trzeciego zawsze go wspierał.

- Wczoraj widzieliśmy tych wdzierających się na piramidę. Ale jak wzięliście Monte Lecchia, pod którą teraz siedzimy w tej miłej pogawędce?

- Trzy nasze kompanie poszły na wschodni i zachodni stok góry Lechickiej o godzinie 2-giej w nocy, i zdobyły w walce wręcz jeden szczyt i Monte Trebbio. Tak po prostu, po karpacku, bez wielkich słów. Lali w nas zawzięcie, po prusku. Byli to młodzi Niemcy walczący zażarcie, desperacko do ostatka. Tyczyński spotkał w progu domu Niemca, obaj jednocześnie splunęli ku sobie serią pistoletów automatycznych, obaj jednocześnie padli obok siebie. Walka o każdy próg domu, o każdy załom górski, piersią w pierś.

Tak to bardzo proste, bardzo mało poetyczne, a pełne prozy życia i śmierci. Walka wręcz, śmierć wręcz, zwycięstwo. Ale ile w tym było wysiłku bladością wybiegającego na lica, ile było ostatni dech z piersi wydzierającego trudu, ile nerwowych przedatakowych chwil, ile wpatrywania się w czeluść nocy, wyglądania rakiety naszej, czy ich, wsłuchiwanie się w oddech nocy, w jej skryte tajemnice, którą coś zdławić wreszcie musi, bo dłużej nie sposób czekać... I wreszcie zaczęło się. Wszystko idzie na jedną kartę brutalnie, bez sentymentów, bez czułości. Trzeba. Ty, albo on. Artyleria już bluznęła swoim żelastwem, póki młodzi nie rzygnęły w odpowiedzi.

Podwórce domu zagęszcza się przechodzącym oddziałem. To sąsiedni batalion idzie na sąsiednie wzgórze. Znajome twarze, zna-

jome brygadowe oznaki. Kapral, który kiedyś na piaskach pod Aleksandrią tłumaczył nam strzelanie nocne z broni maszynowej - prowadzi teraz pluton. Wąska wstążeczka Krzyża Walecznych, gwiazdki ran. Sunie brygadowa wiara, zmieszana już z tą, która jeszcze dwa lata temu sunęła w Zachmanach, oczekując śmierci z wycieńczenia na sybirskich zesłaniach. Zmęczeni już ciągłą akcją, znużeni tą walką nieustanną, w której nasz korpus najcięższe zajmuje odcinki i nie ma odpoczynku. Wydobywają z siebie wciąż nowe moce, nowe siły. To są ludzie, którzy walczą już piąty rok od pustyni po Apeniny, którzy dni swoje nie spędzają w dymach kawiarnianych, czy nad zielonymi stolikami konferencyjnymi, ale którzy dnia każdego przez pięć lat tej gry dalekich sił i wielkiej polityki: kładą rzecz najcenniejszą, najserdeczniejszą i jedyną - swoje życie. Nie słowa, nie przyrzeczenia wykretne, które można czytać od przodu i od tyłu, nie wielkie hasła, i wygodne życie poza tym się kryjące, ale codzienne szare, aż do znudzenia wypełnianie obowiązków karpackich, obowiązków, które celem życia się stały każdemu Polakowi. A równocześnie tam, na tych stołach rozgrywa się szantaż, rachunek i wyrachowanie, rozgrywka ich Nowogródkiem, Tarnopolem, czy Lwowem i Wilnem. Rozkaz podrywa dalej, w góry na nową pozycję, po nowe ofiary, po dalszą walkę i nowy wysiłek w drodze na północ, Ku szczytowi, który będzie dla niejednego kresem wędrówki, który dla niejednego starczy za Polskę w słowach: Jezus, Maria...

Słońce zniża się ku szczytom. Czas iść dalej.

Przed domem stoi młody podchorąży z opaską czarną na oku. Jedno oko już stracił pod Monte Cassino. Pocisk drugi utkwił mu w skroni - nie można przeprowadzić operacji, bo może grozić utrata drugiego oka. Stoi z tomiganem w rękę, zabłocony, zmęczony, spacony, ale wyprostowany.

- Panie majorze, wrócił patrol ze wzgórza... Otrzymaliśmy ogień, stanowiska nieprzyjaciela - pochyła się nad mapnikiem i składa dokładny meldunek patrolowy.

- Nie chce iść do szpitala - tłumaczy poeta.- Dzielny chłopak, to nasza wiara - dodał spoglądając serdecznym wzrokiem na patrol, który wrócił, na artylerzystów, na zmęczony podejściem sąsiedni batalion...

Sciskamy dłoń mocno, serdecznie młodemu dowódcy patrolu, który idzie choć bez oka - idzie nieustannie do Polski.

Patrzy na mnie badawczo, długo tym jednym całym okiem i mówi:

- Wrócimy! Tych rozniesiemy i rozniesiemy innych, gdy trzeba będzie.

- Wrócimy, bo wrócić musimy!

X X X

Z daleka dobiega miarowy warkot samolotów. Cisza górska nabiera już teraz majestatu śmierci. Podciągamy się w tej drodze wyżej, by obserwować. Lecą, kożują, jak jastrzębie nad tymi tam kopiastymi pagórami, w których niemiecka obrona gotuje się do dalszej walki, do dalszego zawziętego oporu broniąc wejścia do doliny lombardzkiej. Zniżają się teraz, podciągają gaz, wysoko idą, a kiedy upatrzą ofiarę lecą na pełnych, wyjąjących obrotach motoru. Skowycze w powietrzu śmigająca bomba, grają nisko i głucho działka samolotowe. Wreszcie dochodzi nas wybuch bomby, jednej, drugiej, piątej. A każdy wybuch, to pożegnanie czyjes z tym światem, to ostatnie "Requiem". Krążą jastrzębie angielskie nad sinawą w

zmiernych południowym górą Lechicką i nikną w ostrym spadzie nad niemieckimi pozycjami.

Ile się zmieniło? Trzy lata temu, kiedy lądowaliśmy w oblężonej twierdzy, podobnie witały nas rano niemieckie "sztukasy". Szły wysoko, a później spadały gęsiego na żeb na szyję, szturmowały pikując i ładując w nas bomby. Diabli je już dawno wzięli, a Brygada Karpacka wyrosła w dywizję, a na niebie coraz więcej polskich biało-czerwonych szachownic lotnictwa naszego. Wtedy beznadziejnością byłoby oczekiwanie jakiegokolwiek samolotu brytyjskiego spieszącego z odsieczą. Panami powietrza byli Niemcy. Dziś beznadziejnością było by, gdyby Niemcy wyczekiwali pomocy swojego lotnictwa. Leży ich siła zdruzgotana, choć byli potęgą, ogromną, niezwykłą, niezniszczalną, nieosiągalną. Byli i przeszli, jak każda wielkość na niszczaniu budowana - przejść musi.

W san Sezano dzwony biją na Anioł Pański, a do szeregu noszą deszki nowe, by słać się po obcych rowach i obcych drogach w marszu do Polski.

Ale dojdziemy. Wrócimy, jak śpiewała Żelazna Brygada -

"Nie zmoże jej, póki podźwignie broń w ramię,  
ni carska zachłanność, ni buta krzyżacka,  
w bój pójdzie zwycięski i wrogów przełamie  
Żelazna Brygada Karpacka!"

Śpiewali pod Mołotkowem i śpiewamy ją teraz, w tej samej omal chwili ciężkiej i historycznie się powtarzającej.

Rzym, w grudniu 1944.

( Rozdział z książki  
Wrażenia włoskie.)

X

W san Eszapo dawny list na Antioj Eszapt, a do Eszapanu  
Eszapy nowy, by siaz sie po obczyt rowno i Eszapy Eszapanu  
saz do Eszapt.

Ala Eszapt, Wroclaw, Jak Eszapt Eszapanu Eszapt  
Wszk kiesz tej, pokl podawiaie brach w rzesie  
z Eszapa Eszapanu, w Eszapa Eszapanu  
w Eszapa Eszapanu, w Eszapa Eszapanu  
Eszapa Eszapanu Eszapanu

Eszapt pod Eszapanu i Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapt Eszapanu i Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu

Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu

Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu

Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu

Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu  
Eszapanu Eszapanu, w Eszapanu



GROB NIEZNANEGO ŻOENIERZA .

(fragment z opracowywanej do druku książki "PO NARVIKU  
BYŁ TOBRUK..." przeznaczony specjalnie do niniejszej  
"Jednodniówki")

Wiele widziałem grobów nieznanych żołnierzy na świecie. Oglądałem je w różnych stolicach z mieszanymi uczuciami - w zależności od karju, architektury samego monumentu, od nastroju, pory dnia i stopnia napełnienia przewodu pokarmowego. Zawsze jednak tym oględzinom towarzyszył pewien posmak przekory: czy aby w ogóle leży ktoś w tym grobie i czy rzeczywiście nieznany?

Ależ to nie jest ważne - powie ktoś nie bez pewnej słuszności. - Chodzi przecież o symbol, o oddanie czci szaremu człowiekowi, który zginął za sprawę, w którą wierzył.

A może nie wierzył? Otóż to: może ten żołnierz został zabity w ucieczce, trafiony kulą w plecy? Różni przecież bywają żołnierze w rozmaitych krajach. I jak to było z ekshumacją? Może grabarz, jakiś sierżant szef, załatwiający tę sprawę, umieścił potajemnie pod wspaniałym pomnikiem zwłoki jakiegoś swego krewniaka? Co wtedy? Bo jeśli jest znany komikolwiek - to już nie jest nieznany.

Szanuję szarego człowieka, co spełnia swój obowiązek, wysoko cenię wartość pewnych symboli. A jednak, wyznaję szczerze, że nie doznawałem silniejszych wzruszeń, stając przed grobami nieznanych żołnierzy. Nadmierny krytycyzm? Wstręt do fałszywego patosu? Zbyt wyostrzone poczucie humoru? A może uznanie dla cech indywidualnych człowieka i dzika pretensja, aby mi powiedziano, kto jest tym, któremu cześć mam oddawać, przed czyimi szczątkami zdejmuję czapkę.

Nie wiem, który z tych czynników dominował w uformowaniu się mojej - nie powiem niechęci, raczej obojętności w stosunku do pięknym niekiedy, a czasem niesmacznych pomników nieznanego bohaterstwa. Może wszystkie razem, a może po prostu jakieś nieokreślone poczucie, że nie są prawdziwe.

Pierwszy i może ostatni prawdziwy grób Nieznanego Żołnierza spotkałem na polskim cmentarzu w Tobruku. Choć na prostym, betonowym krzyżu umieszczono napis "KPR. JOZEF PĄCZKOWSKI, lat 27, Batalion... Komp... Zginął dn.....1942 r." - Jest to naprawdę Grób Nieznanego Żołnierza. A jak to było, opowiem.

X X X

Józio Pączkowski był ulubieńcem kompanii i batalionu. Nieduży, okraglutki, różowutki i pulchny, swą popularność wśród kolegów zawdzięczał nie tylko ładnej, nieco dziecinnej twarzy, ale może w większej mierze cechom charakteru. Był dobry i koleżeński.

Choć nosił belki kaprała, trzymał ze strzelcami, nie piął się do towarzystwa sierżantów, nikomu nie "dawał w kość", nikomu nie dokuczał. Później, po tym tragicznym wypadku, wspomniano nieraz, jak chętnie pełnił służbę za kolegów - nigdy nie traktował swej drużyny jako podwładnych -, jak z własnych funduszy opłacał czasem usługę Araba, sprząającego w kompanii, aby, broń Boże, nie stała mu się krzywda. Jako podoficer służbowy - jeszcze na tyżach - potrafił patrzeć przez palce na spóźniających się z przepustek, jako instruktor nie męczył wojska, często robiąc przerwy w ćwicze-

niach na papierosa, choć sam nie palił. Swój chłop.

Józio był delikatny, nerwowy, nieśmiały. Choć jeszcze w Polsce, gdzie był kierownikiem dużej mleczarni spółdzielczej w Kieleckim, musiał się stykać z wieloma ludźmi i podtrzymywać z nimi stosunki, nigdy nie zdołał się nauczyć dwóch rzeczy: pić i uwodzić kobiety.

Mój przyjaciel Feluchna, który kolegował z Józkiem od Syrii, na przestrzeni dwóch lat zapamiętał zaledwie parę wypadków lekkiego opilstwa kaprała Pączkowskiego. Było to zawsze opilstwo pierwszego stopnia, jak się zwykle pisze w protokołach sądowych: Józio pod wpływem alkoholu stawał się tylko weselszym niż zazwyczaj. Z natury mowny, nabierał wówczas jeszcze większego zapału do wszelkich opowiadań, zwierzeń i gawęd. Zaczepiał Arabów, Greków, Francuzów i, nie **znając**, prócz polskiego, żadnego języka, prowadził z nimi długie rozmowy, mniej więcej takiej recepty:

- Parlez Vous français?

- O, oui, Monsieur - odpowiada kupiec grecki w Alex.

- A czy wy maciecie skarpetkas? Guđ pończoches, Wolle?

I tak dalej, w tym stylu: pomieszane wszystkie języki, a raczej pnie różnych słów, połączonych w przelocie w dalekiej podróży, połączone z końcówkami innych wyrazów, przymiotnikami, przysłówkami z innych języków. Boki można było zrywać, słuchając Józiowego żargonu, który ostatecznie sprowadzał się zwykle do wymownych gestów, jakimi zawsze w końcu porozumiewają się ludzie, pragnący zawrzeć prosty kontrakt kupna-sprzedazy.

Choć, jak się rzekło, mowny, być może gadatliwy nawet, był Józio niezwykle nieśmiały w stosunku do pięciusetletniej pięknej. Czy chował w głębi serca jakiś głęboki afekt do pozostawionej w Kraju bogdanki, czy też miał zasadnicze obiekcje natury religijnej i moralnej - nie wiadomo. Dość, że nikt nie pamięta, aby Józio poszukiwał towarzystwa mniej lub więcej wesołych dziewcząt w wesołym Tel-Awivie lub w rozkosznej Aleksandrii.

Charakterystyka Józka Pączkowskiego byłaby niekompletna, gdybym nie wspomniał o wielkiej jego pobożności. To, że nie opuszczał żadnej mszy polowej, żadnej spowiedzi, czy majowego nabożeństwa, że dzień rozpoczynał i kończył paćcierzem - to byłoby raczej normalne, rzecz można typowe. Przeciętną normę przekraczało Józiove przywiązanie do dewocjonaliów.

Gdy Bragada przybyła z Syrii do Latrun, Józio zakupił mnóstwo obrazków i małych medalików dla siebie i rodziny, a potem, zebrawszy więcej pieniędzy, ufundował dla kościoła w Czarnocinie piękny krzyż. Chwilowo zdobi on świetlicę Nowego Domu Polskiego w Jerozolimie, ale już niedługo pojedzie z wojskiem do Polski. Z koleżankami zaopatrzył się nasz kapral w srebrny, patniczny medal Jerozolimski, do którego O.Borkowski dodaje wielki dyplom z pięknie wykalfigrafowanym nazwiskiem posiadacza. Dyplom taki przechowuje się w specjalnym futerale z tektury, aby się nie gniótł i nie łamał.

Z wszystkimi tymi świętościami (z wyjątkiem oczywiście dwumetrowego krzyża, zdeponowanego u Mateczki w Jerozolimie), starannie związanymi w okazałych rozmiarów paczce, Józio nie rozstawał się nigdy. Towarzyszyły mu w Egipcie, zabierał je do rowów w Mersa Matruh, gdy gwizdzące bomby niemieckie zmuszały kompanię do krycia się przed odłamkami, miał je pod ręką w swym schronie w Tobruku, a potem, po Gazali, wozik ze sobą w szoferce. Podczas patroli, na które nie wolno było zabierać żadnych osobistych papierów, nosił w kieszeni paczkę z obrazkami i medalikami i drżał o los pozostawionego w boksie patniczego dyplomu.

Taki już dziwak był ten Józio. Gdyby był zgorzkniały, złośliwy i plotkarz - można by go nazwać bigotem, ale on był zawsze pogodny, radosny: gwizdał ciągle, cieszył się życiem, był pewien, że wróci do Polski.

Józio jeszcze w Kraju nauczył się trochę szoferki i to była właściwa przyczyna tej katastrofy. Z początku nikt nie wiedział o jego szoferskich umiejętnościach, ale on sam napisał sobie biedy: rozpowiadał na prawo i lewo, jak znakomicie kierował Fordem mleczarni, jak setki wyciągał na szosie. Ot wiadomo: gaduła.

Gdy więc przed wyjściem z Tobruku zmotoryzowano Brygadę, przypomniał sobie o Józiu i o jego rzekomych szoferskich talentach: awansował przymusowo na kierowcę. Dostał starego Bedforda, niechętnie i nieśmiało wlaź do szoferki i pojechał. Psuło się to i owo, wóz chodził raczej własnymi drogami, czasem zrywał się do skoku, jak znarowiony rumak, ale suma-sumarum szedł jednak naprzód. A, że szoferów było stale za mało, nikt nie narzekał na Józia.

Dopóki drogi były mniej więcej równe, pochyłości niewielkie i pogoda możliwa, szoferska dzielność Józia nie odbiegała zbyt od normy i on sam nie miał powodów do wyrzutów sumienia: nikt nie zabił, nie zranił poważnie, nie zniszczył wozu. Bieda zaczęła się dopiero po Gazali, gdy wojsko posunęło się dalej i trzeba było brać te piekielne serpentyny pod Derna, gdzie szosa z wysokiej i stromej szkarpy opuszcza się do morza, wijąc się w wariackich skrętach nie siedmiu, ale chyba dwudziestu "siostr". Palestyńskie, skasowane niedawno "Seven Sisters" pod Jeruzolimą, to szczytunki przy tamtych zakrętach.

X X X

Dziśniak z Kulskim ostrożnie znieśli z wozu owinięte kocem ciało i położyli na ziemi, w pobliżu schronu Szefa. Smutna wieść obiegła już kompanię; chłopcy powyłazili z wydrążonych w załamaniach wąwozu dziur, schronów i kamiennych sangarów, stanęli kołem i z pozdejmowanymi czapkami czekają nadejścia Sianki.

Oto on. Nachyla się, unosi brzeg koca i szybko cofa się, otulając smutną zawartość.

- Więc to ma być Józio Pączkowski - miga w głowie sierżanta.  
- Straszne, straszne.

Wzdryga się. Nieprzyjemnie jest patrzeć na coś, co jeszcze przed paru godzinami było radosną, ludzką twarzą, a teraz stanowi bezkształtny, skrwawiony, zbrukany ziemią strzęp mięsa. Gdyby nie poszarpany battle-dress, gdyby nie charakterystyczna pełność kształtów i niedwuznaczne relacje naocznych świadków - można by wątpić, czy ten odrażający przedmiot, nakryty australijskim kocem był tak niedawno człowiekiem, polskim żołnierzem, Józkiem Pączkowskim.

- Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie - mówi, żegnając się Szef kompanii.

- A światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, Amen - odpowiadają chórem żołnierze.

Gdy skończono pacierz, Szef wydał niezbędne zarządzenia:

- Marczak pojedzie do Batalionu po Kapelana. Panek - zrobić trumnę ze skrzynek po amunicji: należy mu się chrześcijański pogrzeb. Dziśniak, Kowalski i Kulski do mnie, do protokołu.

Wobec nieobecności dowódcy kompanii, Szef nie zwlekał ze spisaniem zeznań. Podchorąży Bienkowski protokołował, rucając

od czasu do czasu pytania, zmierzające do wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności katastrofy. Sianko opanował się już zupełnie i uważnie słuchał opowiadań świadków.

- Z początku wszystko szło jak najlepiej - mówił Dziśniak, rutynowany szofer warszawskiej taksówki -, choć Józio był jakiś nieswój. Już przed wyjazdem, na zbiórce, gdy Pan Szeff go wyznaczył, czuł się niezdrów i dlatego prosił, aby go zwolniono dziś od jazdy. Zauważyłem, że ręce mu się trzęsły. W każdym razie szczęśliwie dojechaliśmy do magazynów pod Gazalą. Każdy załadował swój wóz bankami z benzyną - Józio trochę marudził, więc pomógł mu Kulski - i około 5-tej wyruszyliśmy z powrotem.

- Była chyba szósta, gdy zaczęliśmy zjeżdżać z serpentyn. Józio jechał pierwszy, ja drugi, za mną Kulski, Kowalski na końcu. Po drodze spotkaliśmy dużą kolumnę Anglików, wiozących sprzęt wojski. Część wozów wyminęła nas, część dołączyła z tyłu tak, że na serpentynach stanowiliśmy człon tej kolumny.

- Zjeżdżanie z tych cholernych serpentyn nie jest łatwe, to też uważałem, jak jedzie Józio i trzymałem się z daleka. Nagle, na gwałtownym skręcie, drugim, czy trzecim z kolei, wóz jego stanął. - Józio nie mógł wziąć wirażu. Zatrzymał Bedforda i cofnął na tyle, że mógł wyprostować. Zatrzymałem swój wóz i czekałem - cała kolumna stanęła, bo tam o wymijaniu nie ma mowy, zresztą szły wozy pod górę. Myślałem, że Józio ruszy, ale on bał się. Wylazł z szoferki, idzie do mnie i mówi: "Zerwał mi się wsteczny bieg i hamulce mam marne, nie pojedę. Puść mnie na swój wóz. Ty dasz radę z moim."

- Z początku nie chciałem się zgodzić - zaczęliśmy się krócić, powstał zator, Anglicy zaczęli trąbić, ryczeć klaksonami, paru wylazło z szoferek i dawaj na nas, że ruch hamujemy i różne rzeczy po anglikańsku: faking, faking itd., jak to oni zwykle.

- Widzę ja, że nie da rady inaczej, więc puściłem Józia do mojej kierownicy. Wrazem na jego wóz, ruszam wolno, prostuję, słyszę za sobą, że Józio daje gazu, aż tu nagle krzyk. Stałem, patrzę w lewo: mój wóz zwał się w przepaść. Leci w dół jak pudełko zapałek - sypią się banki z benzyną, wóz koziołkuje, wpada na szosę poniżej skrętu, toczy się dalej po pochyłości, znowu wali na szosę i tak dalej.

- To była jedna chwila, może z pół minuty. Mój Bedford z Józkiem spadał jak dziecinna zabawka. Minął pewnie ze sześć serpentyn i straciłem go z oczu, dalej była prawie prostopadka przepaść, chyba z 50 metrów i znowu serpentyny.

- Ja jechałem za Józkiem - przerwał Kulski, - widziałem, jak się to zaczęło. Józio, zdaje się, z miejsca dał gazu. Wóz szarpnął - widocznie Dziśniak nie wyłączył pierwszego biegu, - cofnął się i uderzył o skałę. Józio musiał wziąć kierownicę gwałtownie w lewo, bo wóz wjechał w poprzek na szosę i zwał się w przepaść.

- Co było dalej - pytał Szeff - gdzieście go znaleźli?

- Widząc co się dzieje - mówił dalej Dziśniak - zawołałem Kowalskiego i Kulskiego i możliwie szybko, ale ostrożnie zjechaliśmy w dół. Znaleźliśmy mój wóz prawie zupełnie na dole, przy ostniej serpentynie, za prostopadłą przepaścią. Patrzymy: koł nie ma, pudło pogruchocone, benzyna rozsypana, szoferka otwarta, Józia nie ma. Zaczęliśmy szukać, wspinając się po zboczu i znaleźliśmy go wyżej, nad następną serpentyną. Ot i wszystko. Już nie żył, nawet nie próbowałem go cucić - widział Pan Szeff, co z niego zostało: ani oczu, ani ust, ani nosa. Szkoda chłopaka. Czapkę

gdzieś zgubił po drodze i pas - nie mogliśmy szukać, aby nie hamować ruchu.

Po wyczerpaniu wszystkich pytań protokół zamknięto. Przyjechał Kapelan, pokropił zwłoki Józia, którego ogarnięto jako tako i ułożono w biednej trumnie z cienkich deseczek. W ręce wsunięto mu jeden z ulubionych obrazków z Matką Boską, resztę dewocjonalii wraz z medalem i dyplomem schował Dziśniak. Tegoż dnia odjechał Józio do Tobruku - nie wolno zwlekać z pogrzebem w pustyni. Na polskim cmentarzu powstała nowa mogiłka.

Szef kompanii odprowadził Józia na miejsce wiecznego spoczynku. Wrócił jakiś nieswój. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Gryzły go wyrzuty sumienia. Ciągle widział Józia na zbiorce przed odjazdem, proszącego nieśmiało: "Chory jestem, nie mogę jechać, niech mnie Pan Szef zwolni, nie dam dziś rady."

- Zabiłem chłopaka - myślał Sianko, rozglądając się za koniakiem. - Tobruk przeżył, Gazalę i tak marnie skończył. Przeze mnie, przeze mnie. Chyba na mszę dać trzeba, ślub jaki zrobić?

X X X

Mijały dni i tygodnie. Józia pochowano w styczniu 1942 r. potem była okupacja Cyrenajki, Gazala II-ga i wreszcie, zmęczona, zdekompletowana licznymi ewakuacjami chorych i rannych, Brygada powróciła do Egiptu na dobrze zasłużony wypoczynek.

Dopóki kompania była w polu, często wspomniano Józia. Opowiadało różne zdarzenia, w których był uczestnikiem lub głównym bohaterem, wspomniano jego zalety, przyzwyczajenia i dziwactwa. Często podkreślano, że Józio miał przecucie śmierci, że dlatego nie chciał owego dnia jechać po benzynę: czuł instynktownie zbliżający się koniec.

Czasem, podczas większego pijaństwa, komuś wyrывało się niechęć: "szkoda, że nie ma Józia". Milkły wtedy rozmowy, nastrój przyskał. Wszyscy bardzo lubili Józia - był zawsze taki pogodny: uśmiech, łagodny uśmiech kompanii.

Gdy Kapelan odprawił dwie msze za duszę nieboszczyka, Szef Sianko uspokoił się nieco. Wszyscy zauważyli, że od dnia pogrzebu stał się jakiś inny, bardziej przystępny, wyrozumiały. Stare przysłowie, że "dowódca to ojciec, a szef to matka kompanii" zaczęło nabierać sensu pod złagodzoną reżymem skruszonego Sianki. Choć nigdy nie był "skorpionem" - teraz wprost tryskał dobrocią. Nie wysyłał słabych na roboty, niektórych namawiał, aby pisali się do lekarza i zjeżdżali przez szpital do Alex, służb nie wyznaczał zbyt licznych - słowem miód, po prostu miód z masken, jak mawiał stary cynik, Dziśniak.

Ktoś zrobił fotografię grobu Józia w Tobruku. Wręczono ją później kuzynowi jego, plutonowemu Powidko z Transportówki, który, nic nie wiedząc o wypadku, przyszedł do kompanii, aby odwiedzić Józia. Zmartwił się bardzo tragicznym zajściem krewniaka, popił trochę, pogadał, powspominał, schował fotografię, aby doręczyć kiedyś rodzinie i odjechał. Cóż robić: wojna. Rodzą się ludzie, umierają - trudno; rzecz naturalna, zwykła, choć nie wesola. W każdym razie lepiej, że umarł w butach, że pochowany w Tobruku - zginął na służbie.

Gdy wojsko stanęło pod Amaryją na wypoczynek, szybko zaczęto zapominać o zmarłym koleźce. Wszystko się kończy, co się zaczyna. Zaczęła się kiedyś wielka sympatia dla Józia - nie stało go: musiała się powoli kończyć, może tylko zacierać pamięć o nim.

Musiały się zacząć inne rzeczy.

Wytęsknione do Polaków, wygłodzone dziewczęta aleksandryjskie szybko zaczęły odciągać Józiovych kolegów od smutnych wspominków; wojna została gdzieś daleko, w szarej, beznadziejnej pustyni - przestała być rzeczywistością, zacierała się w pamięci, jak ciężki sen przedwczorajszy po dobrze przespanej lub przechulałej dzisiejszej nocy.

Ze snu tego wylaniały się jeszcze w rozmowach te i owe szczegóły, ale, rzecz ciekawa, już nie te najgorsze, nie te smutne, czy twarde - nie, właśnie zabawne, wesołe, pogodne.

Błogosławione prawo zapominania bólu eliminowało automatycznie nieprzespane noce, nadmierne trudy, emocje niebezpiecznych patroli, pragnienie wody, owoców, zieleni, huraganowe ognie i swisty bomb lub pocisków, lecących na rejon kompanii. Prawo to redukowało też smutne wspominki o utraconych towarzyszach broni - nie usuwało ich wprawdzie, ale przestawiało na plan dalszy, lokowało gdzieś bardzo głęboko, w tajnym skarbczyku serca, gdzie zostaną do końca życia; nie relikwie, ale myśli krótkie, słowa, rzucone czasem: "dobry był chłopak, towarzysz, kolega!"

Powoli przestano mówić w kompanii o Józiu Pączkowskim, którego grób żołnierski pozostał w dalekim Tobruku.

X X X

Szef Sianko siedzi przed swoim namiotem. Z roztargnieniem wodzi wzrokiem po rejonie kompanii i układa sobie plan jutrzejszej niedzieli. Roztopione w popołudniowej drzemce myśli z trudem przyjmują kształty określonych życzeń, sformułowań, poglądów i planów. Marcowe słońce przypieka mocno, wlewa do głowy syrop słodkiego bezwładu.

"Trzeba będzie odwiedzić tego greckiego aptekarza na Zaglul. Fajną ma żonę, zdaje się, Despina ją woła - co za dziwaczne imię. Ale teraz warto by się napić piwa."

Nagle twarz sierżanta staje się trupio blada, oczy uciekają mu gdzieś w głąb czaszki, przez ciało przebiega konwulsyjne drżenie. Próbuje wstać, uciekać - nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Jak urzeczony, błędnym wzrokiem patrzy na coś, co nie mieści się w granicach ludzkiego pojmowania: od szosy, usmiechnięty, wesolutki, pulchniejszy jeszcze niż dawniej, zbliża się Józio Pączkowski - nie, duch Józia.

- Jezus Maria - szepcze Sianko, raczej myśli szeptem; zbielełale wargi nie są zdolne wypuścić słowa, ręka nie może się podnieść do zamierzonego przeżegnania; paraliż obłądnego strachu przed niepojętym, niezrozumiałym.

- Dzień dobry, Panie Szefie! - sączą się do zdrętwiałej świadomości Sianki wyraźne słowa zbliżającego się chłopca.

Sierżant słyszy każdy wyraz, każdą sylabę, bijącą o uszne bębunki, ale nie pojmuje sensu.

- Duch mówi - miga mu w głowie, - rany boskie, coś chce ode mnie, zabiłem go, zabiłem, zginął bez spowiedzi.

- Dzień dobry, Panie Szefie - powtarza sympatyczna postać o pulchnych, pączkowatych kształtach. - Nie poznaje mnie Pan? To ja, Pączkowski, Józio Pączkowski. Wracam ze szpitala.

- Ze szpi-ta-la - cedzi Sianko, jak gramofonowa płyta na zwolnionych obrotach. - Ze szpi-ta-la.

Czuje, że siły opuszczają go zupełnie, że za chwilę zemdleje.

- Co Pan taki błady, Szefie, Szefuniu! - woła zdziwiony Józio. - Jezus, Mario Święta, co się dzieje? Czy ja zwariowałem?

Podtrzymuje sianiającego się sierżanta, przesuwając skrzynkę, aby mógł oprzeć się o ścianę namiotu. Ten najpierw z lękiem, ostrożnie, potem mocniej, chwyta Józia za rękę, dotyka jego piersi, maca mu plecy, potem sam szczypie się w udo.

- Albo ja śnię, albo to nie duch - przychodzi wniosek.

- Józio, to Ty żyjesz? - wyskakuje z wniosku pytanie.

- Ta dlaczego mam nie żyć? prawie z płaczem pyta Pączkowski. - Ta, ja głupi? czy nie dość się wyleżałem w szpitalu; nie wiadomo po co i na co. A gdzie chłopaki?

- Na ćwiczeniach, zaraz wrócę - mówi, jak we śnie sierżant. Zegna się raz i drugi: widziadło nie znika. Szczypie się znowu w udo, wyciąga portfel, z niego fotografię.

- To Ty nie umarł, Ty nie pochowany? - podaje Józiovi fotografię grobu.

- Już widziałem, pokazywał mi kuzyn w Alex. Popłakałem się trochę, że taka rzecz wyszła. Ale myślałem, że już dali znać o mnie: ja od trzech miesięcy po szpitalach się włóczę, choć zdrowym.

Sianko raz jeszcze obmacuje Józia. Krew powoli wraca do twarzy, zaczyna szybciej krążyć w żyłach; duchy nie mają takich różowych policzków i tyle mięsa na sobie.

- Gadał, Józio, gadał, jak to było!

- Zaraz, Szefuniu, zaraz - niech se trochę odpoczne.

X X X

Gdy chłopcy wrócili z ćwiczeń i minęło pierwsze, pomieszane z przestraczeniem zdumienie, posadzony w środku wielkiego kręgu słuchaczy Józio, rozpoczął swą dziwną, przerywaną pytaniami i okrzykami opowieść.

- Siadam ja przy kierownicy Dziśniaka, zapuszczam motor, włączam skrzynkę biegów, a tu wóz skacze w tył, jak głupi. Bęc o skałę i nazad na szos. Coś przeskoczyło, ja dałem gazu - byłem nieswój tego dnia, nie bardzo wiedział, co robię. Wóz wali się w dół, zaczyna koziołkować. "Jezus, Mario Święta!" - myślę, "niedobrze!" Zamknę oczy, zkapalem mocno za kierownicę i trzymałem. Raz jestem w górę, raz w dół - jak na huśtawce, albo w takiej beczce, com nią jeździł dla śmichu na Pewuce w Poznaniu. Strasznie głupie uczucie.

- Nie wiem, jak długo to trwało, chyba z pięć minut, albo więcej - wiecie, tam chyba z dwieście metrów jest tej pochyłości, do najgorszej, prostopadłej przepaści. Tam zleciałem jak do wody, głową na dół. Samochód spadł jakoś tak na budo, czy bokiem, nie wiem: w każdym razie budo i szoferka mnie ochroniły, bo drzwi się nie otwarły. Zaraz na dół, jak przestałem lecieć, za twarz się łapię, czy mnie nie zeszpecilo. Nic - sucha, cała. Wzruszyłem się w sobie - myślę czy coś mnie nie boli? Nic. Chciałem już wykazać, a tu motor słyszę: samochód jakiś jedzie.

- "Jezus, Maria Święta! Niedobrze: wóz rozbiłem, do paki pój-  
dę. Trzeba udawać i stękać, że potłuczony jestem". Lypię okiem:  
Angliki leżą, sanitarka na szosie stoi. Podnoszą mnie ostrożnie:  
ja nic, oczu nie otwieram, boję się - chyba spocilem się ze strach-  
u, bo wiem: wóz do chrzanu, bez kół, pocharatany, benzyna się  
rozsywała - zaraz protokół spiszą - koza będzie.

- Na nosze mnie ołożyli, niosą, wiozą, jakiś Rapiduch sie-  
dzi koło mnie, do nosa jakieś świństwo podtyka - kichać się chce,  
a udawać trzeba. "W Tobruku odpoczne" - myślę sobie, bo skapowa-  
łem, że do Tobruku jadę. Ale gdzie tam. W szpitalu nowy kawał.  
Zamiast na łóżko mnie dać - na salę jakąś wiozą. Patrzę: siostry,  
doktory, wrzaski - czterech drabów mnie niesie. Stawiają, na stół  
jakis kładą. "O Jezusik, Maryjka, - myślę - operacja będzie, pot-  
ną mnie, jak prosie!" Zerkam ostrożnie. Doktorzy jakies noże ła-  
pią, lancety, czy jak tam to się nazywa, po angielsku bałakają,  
ostrożnie po brzuchu macają. Złe, niedobrze - a wóz zepsuty; uda-  
wać trzeba.

- Rozciąli mi spodnie, battle-dressy, gacie ściągają, koszu-  
lę. Myślę sobie: wyrwę się chyba - kobiety patrzą. Ale nic; zęby  
zaciskam, leżę, trupa odstawiam. Obejrzeli, obmacali lekko, głowę  
obstukali i nie krają. Odetchnąłem w sobie. Na wózek mnie dają,  
szóstciu dryblasów mnie wiezie, jak cacko z porcelany, ostrożnie.  
Spojrzałem ukradkiem: do sali chorych jadą. Stañli. Ja chcę  
zejść, podnoszę się, gąły otwieram, a tu mnie gwałtem nazad kła-  
dą, trzymają delikatnie, jak opłatek na łóżko przenoszą.

- Zgłupiałem: co tu robić? Za wariata mnie mają, czy co, czy  
może, że mózg mam zepsuty myślą, czyli wstrząśnięty? A mnie prze-  
cie nic nie boli, jeść, pić się chce. Patrzę trochę, ale ostroż-  
nie, bo udawać trzeba, słucham: sanitariusze Polacy, sympatyczne  
jakies dziady, troskliwe. Co usta chcę otworzyć, albo oko, to za-  
raz taki z nosem perkatym, gruby, rękę mi gładzi i coś gada, niby  
po polsku, ale jakoś inaczej. "Nie ma rady - kominuję - wóz zep-  
sułem, cicho leżeć trzeba, w katastrofie byłem.

- Wytrzymałem przez noc, pospałem trochę, choć pić się chcia-  
ło i kiszki marsza grały. I o medaliki martwiłem się bardzo, na  
wozie moim zostały, nie wiedziałem, że Dziśniak je zauważył i  
schował - chwala Bogu, są - i dyplom i medal duży. Dziękuję Ci,  
Józiu, żeś pilnował.

- Następnego dnia, po wizycie lekarskiej - jak doktor przy-  
szedł, cicho leżałem, a on tylko popatrzył, kiwnął głową litości-  
wie i poszedł, głośno sąsiadom gadać zakazał - około południa nie  
mogłem już wytrzymać i mówię do tego Rapiducha z nosem kartofla-  
stym: "Kolego, wody daj się napić, albo wódki jakiej i zjeść coś,  
bom głodny". Ten gąły wywalił, jak dwa bakłażany.

- "Co, Pan po polsku mówisz?" - pyta. Ja myślał, że już zwa-  
riował naprawdę. "Ta przecież ja Polakiem jestem" - mówię. "My-  
śmy Pana trzymali za Czecha, co serię dostał po brzuchu: oni na  
niego czekali z operacją".

- Wystraszyli się sanitariusze, co z Czechem, którego przy-  
jazd wczoraj przez telefon był podany, a mnie w tym czasie przy-  
wieźli i z Pepiczkiem zmylili. Na szczęście okazało się, że jego  
trochę później zoperowali i na dział angielski zawieźli, a u mnie  
wstrząs mózgu doktorzy stwierdzili.

- Ten z nosem wody mi dał, jeść, jak się patrzy; umył mnie  
nawet, samemu się męczyć nie pozwolił. Potem, jak się należy, do  
papierów prawidłowo na Pączkowskiego zapisali. Smutno mi było le-  
żeć, o medaliki się bałem, ale wracać nie sposób: wóz zepsuty -



paka pewna i wstyd wielki. Więc furt zamrozonego robikiem. Kana-  
rek przychodził, Gerter - bardzo dobre doktory: pocieszali, że  
to minie za parę miesięcy, że to szok, że dobrze jeszcze z takiej  
opresji wyszedłem. A mnie nic nie boli, jeść za mało dają i nie  
tak dobrze, jak u nas, w kompanii.

- Za parę dni na okręt mnie wsadzili - nieśli frajery, nie  
chcieli za nic, abym na nogach własnych poszedł do portu - i do  
Alex zawieźli. Tu na szczęście Feluchnę spotkałem i lepiej już  
było. Tylko ci chorzy i ranni za bardzo jęczą po nocach, spać  
nie dają. I jakieś piguły mi rykać kazali - czasem udało się wy-  
pluć, ale nie zawsze. Jedna taka siostra, Marysia, to na siłę mi  
wpychała i stała, ażem połknął. Zastrzyki chciała mi robić, głu-  
pia, alem się wyprosił. Przedwczoraj o przyjeździe kompanii wiadomo-  
ść przyszła, tośmy z Feluchną naporzyli i jestem. Chwała Bo-  
gu wszystko w porządku - widzę - medaliki są, i dyplom, i obrazki.

Józio skończył. Dziśniak, Kowalski i Kulski musieli jeszcze  
uzupełniać jego relację swoimi spostrzeżeniami, potem całowali  
się wszyscy i pili coś nie coś. Długo rozważano, kim mógł być  
zmasakrowany żołnierz, którego pochowano w grobie Józia. Szefer  
przypomniawszy sobie, że w przeddzień wypadku były walki w tym miej-  
scu, ale nie wiedział jakie wojsko brało w nich udział.

Przypuszczano powszechnie, że wóz Józia, spadając, musiał  
zmasakrować twarz poprzednio zabitego żołnierza i porwać jego  
mundur, a że biedak był z figury podobny do Pączkowskiego - niko-  
mu nie przyszło do głowy, aby to był kto inny. Żaden z towarzyszków  
wyprawy po benzynę nie widział zaskoniętej fałdami terenu sanita-  
rki angielskiej, która nadjechała przypadkowo w czasie, gdy Józio  
zlatywał ze swym Bedfordem w przepaść. Minęła ona potem zjeżdża-  
jących w poszukiwaniu kolegi Polaków, ale nie zwrócono na nią  
uwagi: był wielki ruch na szosie.

Długo wiwatowano w kompanii na zdrowie "zmartwychwstałego"  
Józia. Myślę, że doczeka on lat sędziwych, choć ma swój grób w  
Tobruku. Wiadomo - omyłkowo uśmierceni dochodzą późnej starości.

X X X

Nie wiem, czy skorygowano napis na owym grobie, którego fo-  
tografię nosi przy sobie bohater tego rozdziału.

Nie ustalono nigdy, kim był żołnierz, pochowany tam przez  
polskiego Kapelana, oplakany przez polską kompanię. Anglik? Szkot?  
Nowozelandczyk? Południowiec? W każdym razie nie Polak. Żołnierz  
Nieznany.

To jest prawdziwy grób Nieznanego Żołnierza.



Zakochała się dziewczyna.

Słowa Wojteckiego i Wasilewskiego

Muzyka St. Ursteina.

Zakochała się dziewczyna  
W ośmiu dzielnych, młodych strzelcach,  
Bystre oko, tęga mina,  
I oddała im swe serce.  
Zacząją, zatańczą, rozradują i zasmuca,  
Na pustynię maszerują, a dziewczynę biedną rzucą.

Pierwszy z nich to był poeta,  
Drugi z pędzlem i paletą,  
Trzeci panny szczypał zwykle,  
Czwarty jeździł motocyklem.  
Zacząją, zatańczą, rozradują i zasmuca,  
Na pustynię maszerują, a dziewczynę biedną rzucą.

Piąty strzelcem był z cenzusem,  
szósty zwykłym oberwusem,  
siódmy pięknie tańczył walca,  
Ośmy kiedyś śpiewał w Halce.  
Zacząją, zatańczą, rozradują i zasmuca,  
Na pustynię maszerują, a dziewczynę biedną rzucą.

Zakochała się dziewczyna  
W ośmiu dzielnych, młodych strzelcach,  
Serce jej nie zapomina  
O gorących ośmiu sercach.  
Zacząją, zatańczą, rozradują i zasmuca,  
Na pustynię maszerują, ale wrócą chłopcy, wrócą!

Marsz, marsz, Brygado Karpacka!

W egiptu piaskach dalekich  
Z piramid patrzą na nas wieki.  
Zadziwimy świat swoją mocą  
Husarskie w nas duchy kopocą,  
Marsz, marsz, Brygado Karpacka,  
Moc w nas i siła junacka,  
Na ostrzach naszych bagnetów  
Niesiemy hasło odwetu.  
O Polsko, my dzieci Twoje,  
Przez krew, przez trud i znoje  
Wrócim zwycięską armadą,  
Marsz, marsz, Karpacka Brygado!

Gdziekolwiek los nas zanieśie,  
W oczach nam płonąć będzie wrzesień,  
Zaprawieni zemsty pożogą,  
Na wroga pójdziemy, na wroga.  
Marsz, marsz itd...

Aż wreszcie przyjdzie godzina,  
Że, matko, ujrzysz swoich synów,  
A choć zdobić ich będą blizny,  
To dowód miłości Ojczyzny!  
Marsz, marsz itd...

PRZEPUSTKA.

Przepustka, przepustka, przepustka na dziś!  
Już od świtu wciąż wraca z uporem  
Kuszająca ta myśl, śpiewająca ta myśl -  
Co zrobimy z dzisiejszym wieczorem?  
Dziś wieczorem w Tel-Aviv  
Wypiję kilka większych piw!  
Po piwie dżyn, po dżynie rum!  
Po rumie w tłum! A w tłumie szum!  
Żołd w kieszeni - cały funt!  
W kieszeni żołd - pod nogą grunt.  
Okragły funt - hej, mów kto żyw:  
Co dziś kosztuje Tel-Aviv?!  
Pójdziemy przez Allenby -  
Ty, ja i tamten jeden, wy i my i on -  
A morze bżyszczy w głębi -  
Uwaga! pst, kanarek idzie z Hajarkon  
Niech tu idzie, co mi tam!  
Przepustkę mam i funta mam!  
Nie będzie chyba o to krzyw,  
Że dziś chcę kupić Tel-Aviv!

Gdy serce spragnione - nie żałujże mu,  
Całe niebo przed nami otworem,  
Dziewczęta, dziewczęta pytają bez tchu:  
Co robimy z dzisiejszym wieczorem?  
Dziś wieczorem w Tel-Aviv  
Poczuję w sercu taki zryw!  
Jedna jest czarna, druga blond,  
A trzecia ruda - nie wiem skąd!  
O co chodzi? - żeby szko!  
Ktoś mnie całuje - nie wiem kto...  
Wiem, że dziewczyna - to nie dziw,  
Na to jest blackout w Tel-Aviv!  
Ze stu nadmorskich barów  
Sto fortepianów naraz sto melodii gra,  
Dziś noc jest pełna czarów -  
Gdzie będę jutro? - kto to wie, kto o to dba...  
Piastry lecą - wszystkie bierz!  
To już ostatni, bierz go też!  
Powrotny bilet mam - to wpływ  
Moich doświadczeń w Tel-Aviv!

Koledzy, koledzy, koledzy, hallo!  
Ja ze Lwowa, kolega z Australii!  
Z Sudanu i z Wilna i z Kielc i z Bordeaux!  
Patrz, jak wszyscy się naraz spotkali!  
Dziś wieczorem w Tel-Aviv -  
By wypić razem kilka piw  
I nie pamiętać w krótkim śnie,  
Kto z nich żonaty, a kto nie!  
Right! To-night in Tel-Aviv  
I drink your wodka till I'm stiff!  
I am on leave - the leave is brief,  
Too brief, because of Tel-Aviv!  
Ktoś komuś piwa kupi,  
Ktoś mi orzełka zdjął, a dał mi taki znak -  
Aż wszyscy krzykną - whopee!!  
I wszystkim naraz - co się stało? - forsy brak.  
Funt się skończył - no to lżej,  
No to szalom! Gudbaj! Okej!  
I do widzenia! A kto żyw -  
Za tydzień znowu w Tel-Aviv!

Piosenka śpiewana po raz pierwszy przez chór Brygady w obozie  
w Latrun w czerwcu 1941 roku. Oryginał w posiadaniu kol. W. Bzotnic-  
kiego.

T R E Ś Ć :

Hymn Narodowy

Dekalog Polaka

- 1) Słowo wstępne
- 2) Marsz Brygady Karpackiej
- 3) Związek b.Żołnierzy S.B.S.K. z dołączeniem odpisów dokumentów.
- 4) Rzut oka na dzieje S.B.S.K. - Szewczyk Franciszek
- 5) Brygada Karpacka w Belgradzie - (old)
- 6) Z Cypru do Latrunu - Ewa Mieroszevska
- 7) Dwanaście godzin - Jasińczyk Janusz
- 8) Wspomnienia portowe - Kowalski Stanisław
- 9) Szlakiem Karpackim - Dr Kleszczyński Ignacy
- 10) Grób Nieznanego Żołnierza - Jasińczyk Janusz
- 11) Pieśni Brygady

Okładkę projektował i wykonał

art. mal. Kolega Terlecki.

Zastrzega się przedruk artykułów, zawartych  
w niniejszej "Jednodniówce".

Wydawnictwo Związku b.Żołnierzy S.B.S.K.  
w Palestynie.



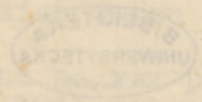
1002

Biblioteka Główna UMK

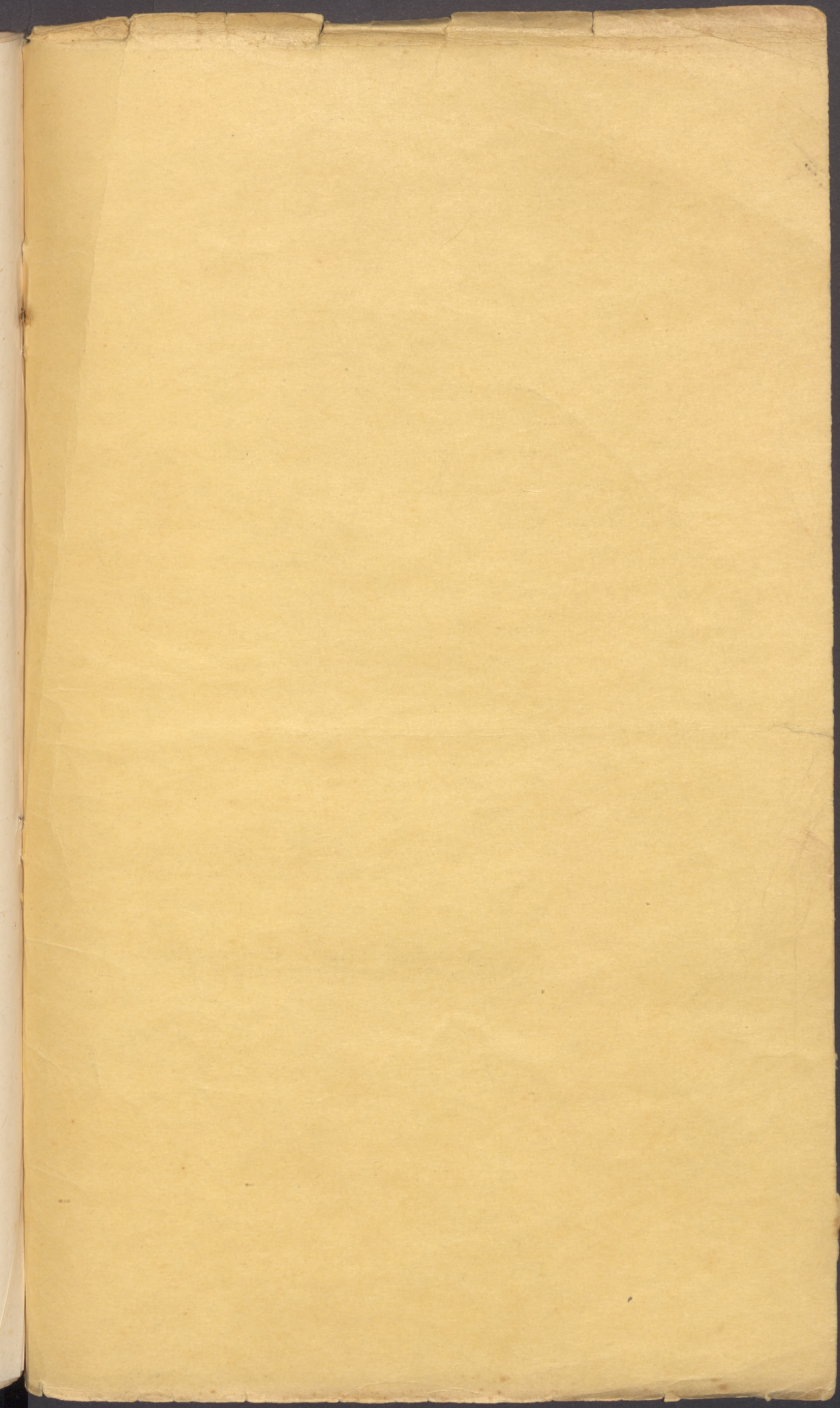


300045133314

- 1) Szewski
- 2) Szewski
- 3) Szewski
- 4) Szewski
- 5) Szewski
- 6) Szewski
- 7) Szewski
- 8) Szewski
- 9) Szewski
- 10) Szewski
- 11) Szewski
- 12) Szewski



Faint text at the bottom of the page, possibly bleed-through or a footer.



Biblioteka Główna UMK



300045133314

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1037032

